

Warunki prenumeraty:

W miejscu: rocznie 1-80; półrocznie 90 ct.; kwartalnie 45 ct. — W miejscu z odsełką do domu, kwartalnie 50 ct.

Na prowincyi: rocznie 2-20; półrocznie 1-10 ct.; kwartalnie 55 ct.

Do Niemiec: rocznie 4-50 mark.

Do Francyi: rocznie 9 franków.

Numer pojedynczy 6 ct.

Reklamacje nieopieczętowane wolne są od opłaty.

NO W Y ROBOTNIK

Czasopismo polityczno-społeczne.

Organ partii socjalno-demokratycznej.

Wydawca: Kornel Żelaszkiewicz.

Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.

Odp. redaktor: Joachim S. Fraenkel.

Redakcja,
administracja i ekspedycja
ul. Wałowa 1. 15 l. p.
wchód także z ul. Sobieskiego 1. 18.

Wszelkie przesyłki adresować należy:
Kornel Żelaszkiewicz ul. Ubocz 1. 3.

Listów niefrankowanych nie przyjmuje się. — Rękopismów nie zwraca się.

Pojedyncze numery nabywać można
w Biurach dzienników p. Płona, ulica
Karola Ludwika i p. Olszewskiego, ulica
Kilińskiego.



Święto majowe.

Majowe tchnienie owiało ziemię,
Do życia wraca cała przyroda,
Tylko zgnębione człowiecze plemię
Czeka — co lato pracy mu doda.
Człowiecze plemię nie znało maju,
Maju przyrody ni maju życia.
Panowie tylko ci używają
Wszelkich rozkoszy już od powicia.

Majowem kwieciami dla nich zasiana
Przez życie droga. Wesela dzieci
Rozkosz jedynie mają u pana,
Jako maj piękny życie im leci.

Ci, co bez prawa i w zbytnim znoju
Wieki przeżyli, patrząc wokoło,
Budzą się wreszcie — nadzieją poją,
Że rychło wzniosą zgnębione czoło.
Pełni odwagi stają zbratane
Narody świata walczyć o prawo!
Dźwięczące długo u nóg kajdany
W ciało ich wpiły się blizna krwawa.
Stargać już pora pęta niedoli,
Wyrwać się z nędzy — dobić do prawa,
Zgnieść wszelką krzywdę — wszystko co boli,
O to się walka już toczy krwawa.

Walki podstawą — dzień Pierwszy Maja;
Już się gromadzą pułki robocze,
Już się do boju każdy uzbraja,
Z drużyną bratnią śmiało wprzód kroczy.

Majowe tchnienie owiewa ziemię,
Do życia wraca cała przyroda;
Majowem świętem robocze plemię
Sobie do walki otuchy doda!.

We Lwowie 1. Maja 1895.

K. Nacher.

Bezrobocie powszechne.

Całe teraźniejsze społeczeństwo żyje z łaski robotników. Najbogatszy pan, który dzisiaj mieszka w świetnym pałacu, jeździ po mieście powozami, lub, jeśli trochę biedniejszy, dorożką, — jak mu się zechce jeść, to wchodzi do najlepszej restauracji, i wogóle wszystko, aż do najdrobniejszej zachcianki, ma na pierwsze zawołanie, dlatego, że może sypać naokoło pieniędzmi, — byłby w niemałym kłopotcie, gdyby służba, woźnica, kucharze zostawili go pewnego pięknego poranku razem z jego pieniędzmi i nie chcieli dłużej zaspakajać jego potrzeb. Musiałby biedak całkiem pościć, bo co naj-

wyżej potrafiłby pójść sam do studni i przynieść sobie szklankę wody.

Rząd, kapitaliści, pisma, które im służą, księża, co zapominają, że Chrystus głosił równość i chcą przyzwyczaić robotników do kapitalistycznej niewoli, nieraz dowodzą, że robotnicy powinni być wdzięczni temu lub owemu kapitaliście za to, że im daje robotę, że mogą u niego zarobić na życie. Robotnik pracuje na to, żeby żyć, więc dostaje tylko to, co mu się należy, a nawet nie wszystko to, co mu się należy; dlatego nikomu nie jest winien wdzięczności. Tymczasem kapitalista nic nie robi, a jednak żyje, jak te ptaki niebieskie, co o nich religia mówi, że nie sieją i nie orzą, a jednak życie mają; widać więc, że ktoś inny dostarcza mu wszystkiego, co potrzeba do życia, że ktoś inny na niego pracuje. Tym kimś jest robotnik, którego on wyzyskuje; robotnik wytwarza swą pracą daleko więcej, niż warto to, co mu zapłaca; to wszystko zagarnia kapitalista, więc nie on to robi łaskę robotnikowi, lecz robotnik jemu. Żle się mówi zawsze, że kapitalista daje pracę, a robotnik ją bierze; jest zupełnie naodwrot: robotnik daje swoją pracę, a kapitaliści, rząd, księża i inni panowie ją zabierają. — Żeby cobyś wytworzyć, nie dość jest posiadać silne lub zręczne ręce: trzeba mieć narzędzie i materyał; trzeba mieć ziemię, aby wytworzyć zboże, trzeba mieć maszynę, aby powstała szyna kolejowa. Dziś tylko kapitaliści posiadają maszyny, narzędzia, ziemię; a że jest tylu proletaryuszy, co tego nie posiadają, tylko ręce do pracy, więc za zapłatę, za nędzne środki do życia zaprzęgają się do ciężkiej roboty. Ale z tego wynika, że sami kapitaliści oduczają się od roboty i stają się do niej niezdolni; a zresztą jest ich niewielu, gdyż każdy chciałby ciągnąć jaknajwiększe zyski, zgromadzić w swoich rękach jaknajwiększą ilość fabryk, ziemi i w tym celu bogatszy wydziedzicza biedniejszego.

W teraźniejszym tedy społeczeństwie ręce do pracy i narzędzia do pracy (czy też materyał lub grunt) są rozdzielone. Póki szewc robi buty własnymi rękami w swoim warstacie, to ma on jednocześnie ręce i narzędzie; ale i to czeladnik, który nie ma środków na założenie warstata, ma tylko ręce, a narzędzie otrzymuje od majstra. Jak stanie fabryka obuwnicza z maszynami, to i majster idzie w końcu do niej na robotnika i wtedy już ma tylko ręce, którymi robi na cudzem narzędziu.

Kapitaliści są właścicielami narzędzi, więc mogą z nimi robić, co im się podoba. Chcą dopuścić robotnika, żeby robił na ich maszynie czy na ich ziemi, — dobrze; nie chcą, nie spodoba im się ten lub ów, że jest hardy, czy socjalista, czy podburza towarzyszy, żeby się domagali większej płacy, — nie dopuszczają go do swego narzędzia, wypędzą z fabryki czy z folwarku. Masz ręce, robotniku, chcesz pracować, chcesz zarabiać na życie uczciwie; ale gołymi rękami nic nie zrobisz, a ten kawałek gruntu, czy ten warstat, czy ta dorożka, czy ten piec piekarski, jest mój — i wara ci od niego. Ja sobie najem innego biedaka na twoje miejsce i będzie u mnie robił na takich warunkach, jakie ja naznaczę, bo gołymi rękami

z powietrza chleba nie wyciągnie, ani nikogo po mieście nie przewiezie. To też dlatego socjaliści mówią, że ziemia i wszystkie narzędzia pracy powinny należeć do tych, co pracują na nich: do całej klasy robotniczej. Wtedy każdy, co zechce pracować, będzie mógł być spokojny o to, że mu nikt tej pracy nie odbierze i że będzie miał byt zapewniony.

Tylko kapitaliści mogą wyrzucać tego lub owego robotnika, póki robotnicy nie są dosyć zorganizowani i póki na miejsce wyrzuconego zgodzi się pójść do roboty ktoś inny. Ale odebrać narzędzia pracy wszystkim robotnikom, co mają ręce robocze, nigdy im nawet do głowy nie przyjdzie. Przeciwnie, uczą oni klasę pracującą od dzieciństwa, w książce i w katechizmie, że człowiek powinien całe życie pracować bez wytchnienia, choćby za najmańszą cenę, bo praca — to cnota, a ilekroć widzą, że robotnicy wytrwają dzielnie w swych żądaniach, to zgadzają się na wszystkie ich warunki, byle tylko nie strejkowali. Czemu? Bo dla nich byłoby największym nieszczęściem, gdyby klasa robotnicza zostawiła ich, jak owego pana, z ziemią, fabrykami, warsztatami i wszystkim co mają, i odmówiła swych rąk roboczych.

Kapitalista, chcąc zmusić robotnika do tego, czego on żąda, odmawia jego chętnym do pracy rękami swych narzędzi pracy. Robotnik ma tę samą broń: chcąc zmusić kapitalistę do swych żądań, odmawia on swych rąk jego narzędziom, strejkuje. W jednym i w drugim wypadku jedna strona bierze drugą głodem. Ale robotnicy mają stokroć silniejszą broń od kapitalistów: gdy bowiem kapitalista nie może odebrać robotnikom wszystkich narzędzi pracy, bo wtedy sam nie miałby z czego żyć, — klasa robotnicza może odmówić kapitalistom zupełnie swych rąk. Jak nieprzyjaciół, zamknięty w fortecy i odcięty od dowozu żywności, tak kapitalizm będzie się wtedy musiał poddać na łaskę i niełaskę klasy robotniczej, która zaprowadzi wtedy swój nowy, sprawiedliwy ład. Bezrobocie więc, przedsięwzięte przez całą klasę robotniczą, bezrobocie powszechne — byłoby wyrokiem śmierci na ustrój kapitalistyczny.

* * *

Bardzo często robotnicy urządzają bezrobocie dla wymuszenia na kapitalistach różnych ustępstw; strejkuje ta lub owa fabryka, czasem cały ten lub inny fach. Ale o bezrobociu powszechnym zaczęli robotnicy mówić bardzo niedawno, przed paru laty. Zdawałoby się dziwne, dlaczego taki prosty sposób — odmówienie wszystkiego hardym panom kapitalistom — przyszedł robotnikom tak późno do głowy. Ale żeby o nim pomyśleć, to trzeba było mieć już bardzo mocną organizację i być pewnym, że robotnicy będą się trzymać wszyscy razem, solidarnie i zaprzestaną razem roboty.

Najwięcej teraz mówią i myślą o bezrobociu powszechnym robotnicy francuscy. Wiadomo, że robotnicy we Francji od dawna już domagają się swoich praw i od dawna są socjalistami. Nieraz już, szczególnie w wielkich miastach, jak Paryż i Lyon, stawiali oni swoje żądania z wielką

siłą i chcieli zrobić rewolucję, zaprowadzić porządek socjalistyczny. Rząd broniący, jak zwykle, kapitalistów, wyprowadzał przeciwko robotnikom wojsko, które w r. 1851, w r. 1870 zalało krwią robotniczą ulice Paryża. Przed dwoma laty, w lipcu r. 1893, rząd francuski nagle i nieprawnie wypędził syndykaty robotnicze (związki fachowe) z domu, które one zajmowały na swe biura i zebrania, a który nazywa się „giełdą pracy”. Gdy syndykaty miały swoje zebrania w jednym domu, to łatwiej mogły się z sobą porozumiewać i występować zgodniej, niż gdy są rozprószone i muszą drogo płacić za sale na zebrania. To też po tem wypędzeniu zawrzało w sercach robotniczych: mówiono o tem, żeby oprzeć się rządowi i odebrać dom robotniczy.

Wtedy rząd sprowadził znowu masę wojska do Paryża. Robotnicy zrozumieli, że gdyby się porwali na to wojsko, czekałaby ich prawdziwa rzeź. Rząd i kapitaliści tylko na to czyhali, żeby przelewem krwi odstraszyć znowu robotników na długo od ich sprawy socjalistycznej. Ujrano, że dopóki żołnierze nie zostaną sami socjalistami i nie zwrócą się przeciw rządowi — a to nieprędko jeszcze nastąpi, bo żołnierz zanadto przyzwyczajony jest do posłuszeństwa i zanadto drży przed kulą w łeb za niekarność — nie ma co porywać się z bronią w rękę przeciw teraźniejszemu ustrojowi. Dzisiaj broń jest tak udoskonalona, a wojsko tak wyćwiczone, że złe uzbrojeni, nie znający wojennego rzemiosła robotnicy, byłiby napewno zwyciężeni.

Wtedy pomyślano sobie, że jest na rząd i kapitalistów inny środek. Zatrudno ich ugryźć — to ich zagłodzić. Wybrano też komisję, która ma organizować cały proletaryat do przyszłego bezrobocia powszechnego. Rząd francuski szuka powodu, żeby zacząć mordować robotników. Każą np. rozejść się, gdy jest zebranie, albo pochód po ulicy: gdy robotnicy aie chcą, to strzelać do nich. Wszędzie, gdzie robotnicy nie potrafią tak się zachować spokojnie, aby nie dać powodu do napaści, mordują ich, a reszta wystraszona poddaje się. Ale za jedno rząd nie ma prawa przyręczyć się do robotnika: jeśli dobrowolnie nie chce mu się pracować. Przecie na wszystkie skargi i żądania robotników kapitaliści i rząd odpowiadają zawsze: nie masz krzywdy; pracujesz na tych warunkach, bo chcesz; nie chcesz, to nie pracuj. To też robotnicy pewnego pięknego poranku powiedzą: otóż dłużej pracować nie chcemy. Nikogo nie zaczepiamy; niech pan fabrykant, pan obywatel i pan starosta zostaną sobie w spokoju; nie niszczyliśmy im narzędzi ani niczego, tylko idziemy do domu,

zakładamy ręce i odpoczywamy. A jak wam tam już wszystkiego zabraknie, to przyszelejcie po nas: pogadamy.

Burżuazja wtedy będzie musiała ustąpić. Proletaryat urządzi społeczeństwo na swój sposób. To też dlatego dzielny socjalista francuski Jan Allemann powiada, że *bezrobocie powszechne — to rewolucja założonych rąk!*

(Dok. nast.)

Prześladowania polityczne.

II.

Po odczytaniu aktu oskarżenia nastąpiło przesłuchanie oskarżonych. Tow. Kozakiewicz nie poczuwa się do winy; zawinił chyba ci, którzy niechali zlecić policyi, aby się nie zachowywała wyzywająco. Policya zakazała zgromadzenia w ratuszu, nie ze względu na ewentualne rozruchy, tylko ze względu na porządek dzienny (sprawa reformy wyborczej). Zgromadzenie mogło odbyć się tylko w ratuszu, w innym miejscu było to wówczas niemożliwym, a o tem wiedziała policya. W dniu spowodowanych przez policyę rozruchów (przewodniczący przezywa oskarżonemu w tem miejscu) przybył wieczorem na rynek, gdzie zebrało się około 4 tysięcy robotników. Do hałasu i nieporządków nikogo nie wzywał. Komisarz Kropaczek zeznał nieprawdzwie. Gdyby oskarżony był postępował wbrew ustawie, zostałby był aresztowany. Kropaczkowi na gorliwości nie zbywa, wszak dekorowany jest krzyżem. (Przewodniczący, który taki sam krzyż ma, wybucha zirytowany; »Pan wciagasz w dyskusję Najjaśniejszego Pana, ja tego nie dopuszczę, przecie pan wiesz, kto udziela dekoracji«). Kozakiewicz: Gdy robotnicy demonstrują za powszechnem prawem wyborczem, to słusznie czynią.

Osk. tow. Fraenkel oświadcza, iż akt oskarżenia jest wysoce tendencyjnym (przewodniczący zastrzega się przeciw takiej krytyce). Zgromadzenie było zwołane na tydzień przed terminem, zakaz nastąpił dość późno, aby można było o nim wszystkich uwiadomić. W »Kur. Lwowskim« umieściliśmy notatkę o zakazie. Telegrafowaliśmy do prezydenta ministrów Windischgraetza z żądaniem zniesienia zakazu na drodze telegraficznej, oraz do posła Pernstorfera z prośbą o wniesienie interpelacji w parlamencie, która też natychmiast wniesioną została. Lecz książę Windischgraetz nie raczył odpowiedzieć. Oskarżony zeznaje dalej, że przybył na Rynek po 7 godz. i około wpół do 8, gdy go komisarz de Loges spostrzegł, natychmiast bez powodu go aresztował. Wyjaśnia, że przybył na Rynek jako redaktor i inicjator zgromadzenia w celu ewentualnego uspokojenia robotników, których przybycia mógł się spodziewać. Wnosi na zawezwanie jako świadków dyrektora policyi p. Krzaczkowskiego na okoliczność, że mu nie zagroził zbieraniem się na ulicach, lecz czynił przedstawienia, zmierzające do cofnięcia zakazu, dalej Ant. Lecha i M. Dankę na okoliczność, że bezpośrednio i w chwili aresztowania zachowywał się

spokojnie i nie stawiał żadnego oporu. Trybunał uchwalił wezwać 2 ostatnich świadków, a co do dyrektora odmówił.

Osk. tow. Żelaszkiewicz konstatuje, że akt oskarżenia nie zarzuca mu nie karygodnego. Przybył na rynek nie w celu wywołania rozruchów, lecz aby ewentualnie ustrzedz robotników od kolizji z policyą. Zgromadzonych do rozejścia się w imieniu prawa policya nie wzywała, a tylko napadała na nich takimi okrzykami, jak banda, batiary, itp. Rozejść się było trudno, ponieważ policya kordonami zamknęła wyjścia z Rynku.

Osk. Rozwoda zeznaje, że przybył na Rynek w charakterze sprawozdawcy czeskich pism radykalnych. Nie brał udziału w demonstracji, jeno jej się przypatrywał. Komisarze policyi wydawali sprzeczne rozkazy; jedni rozpędzali, drudzy nie wypuszczali z Rynku.

Osk. tow. Steig przybył na Rynek, aby udać się na do ratusza na zgromadzenie. Został dużo policyantów, którzy zdjęli półkieszyce. Wnet bez powodu aresztowano go.

Osk. tow. Pryma chciał uczestniczyć w zgromadzeniu, aby demonstrować za powszech. prawem wyborczem. Na Rynku widział wielu towarzyszy, wznoszących okrzyki na prawo wyborcze i śpiewających »Czerwony sztandar«, więc i on się do nich przyłączył.

Oskarżony Majewski zeznaje, że szedł na zgromadzenie. Po drodze napadli go policyanci, z których jeden uderzył go z tyłu w kark, wołając: »A ty batiaru także z nimi«, poczem go aresztowano.

Po przesłuchaniu oskarżonych składali zeznania świadkowie. Komisarze policyjni de Loges, Schechtel, Kropaczek i agent policyjny Terlecki zeznali obciążająco. Przy konfrontacji z oskarżonymi okazało się, że świadkowie w śledztwie zeznawali odmiennie niż na rozprawie, a dalej, że zeznania świadków policyjnych były z sobą sprzeczne. I tak np. twierdził kom. Schechtel, że pochody na Rynku były uformowane jak wojskowe w ósemki, podczas gdy świadkowie de Loges i Kropaczek utrzymują, że robotnicy kroczyli bezładną kupą. De Loges twierdzi, że komisarze szli razem z sobą, temu zaprzeczyli dwaj inni komisarze. De Loges zeznał w śledztwie, że osk. tow. Fraenkel spierał się z agentem czy żołnierzem policyjnym. Teraz po 5 miesiącach twierdzi, że tow. Fraenkel szarpał się z żołnierzem. Wręcz przeciwnie zeznał świadek odwodowy Antoni Lech, który widział Fraenkla bezpośrednio przed aresztowaniem. Fraenkel stał spokojnie i nikomu nie stawiał oporu. Zeznanie Lecha nie spodobało się prokuratorowi p. Czerwieskiemu, który wniósł *oskarżenie przeciw Lechowi o oszustwo przez złożenie fałszywego świadectwa.*

Gdy Lech usiadł na ławie oskarżonych, zaprotestował dr. Grek przeciw natychmiastowemu wytaczaniu nowego oskarżenia, pozbawiającemu pod sąd głównego świadka odwodowego. Trybunał uchwalił rozprawę odroczyć do dnia następnego i sprawę Lecha połączyć ze sprawą reszty oskarżonych.

Z czarnej doli.

...I poszli dalej na cmentarz a dziecina mała szła zaraz za wozem i wkoło osłupiałym kręciła wzrokiem. Czemu jej iść każą za tą trumną białą, w którą ojca włożyli. Gwoździe wzięli — mocno bili gwoździami — biedny tato, może oni go zranili — pewnie krew się z czoła jego leje. Zapłakała się biedna mała, dalej widziała, jak ją ojciec woła, by mu wody do głowy przyłożyła, tak jak to przed 3-ma dniami wołał.

* * *

Przed trzema dniami przynieśli ojca do domu wieczorem. Późno już było. Stara Marcinowa, gospodyni, ułożyła już była Rózię maleńką do snu — wtem do drzwi zastukało. Pewno twój ojciec idzie pijany do domu — rzuciła dziecięciu i odsunęła rygiel — a na noszach wnieśli biednego Stanisława do izby — a on błędnym okiem wodził dokoła — a gdy dziecięcę ujrzał swoją, zawołał głosem strasznego bólu: »Róziu — tu — wody!« — i czoło pokazał gorące. A dziecina do ojca wybiegła, ręce założywszy we dwoje i zawołała: »tato — tato, co to-

bie!« Ale już znowu nic nie mówił, tylko jeden z tych, co go przynieśli, opowiadał, jak to bok od maszyny tracił Stanisława — i ni to go złamało, ni to go zraniło — nic nie widać, ale taka niemoc go wzięła, że — jak doktor orzekł — niedługo umrze na wstrząśnienie zbytnie.

I umarł w godzinę, nie wróciwszy ni do głosu, ni do rozumu — i zostawił jedyną córeczkę na świecie samą...

* * *

I szła gromadka za trumną. Niewielu ich było — bo to dzień roboczy. Litowali się nad dzieciną, wyrzekając na świat cały, litowali się nad duszą nieboszczyka, co tak bez pomazania pańskiego do nieba nie przyjdzie — nie pomnąc, że ta śmierć jego wśród pracy sama chyba nietylko pomazaniem, ale uświęceniem. Ni dzwony nie dzwoniły w kościołach po drodze — tylko u św. Anny wyszedł ksiądz, pokropił trumnę, bo na asystę aż na cmentarz nie było pieniędzy. I poszli dalej. Tu i ówdzie stanął biedak jakiś pożalić się nad ubogimi — tu i ówdzie ktoś się zdziwił, że tak samotna idzie maleńka dziewczynka... Ale w ruchu stolicy cóż znaczy jeden objaw nieszczęścia więcej lub mniej.

* * *

Dobili do cmentarza. Tam między mogiłkami maluczkich stanęli, wrzucili trumnę do jamy — i poczęli grudki ziemi sypać na nią. Dziecię najpierw struchlało — a potem wołać poczęło: »tatę zadusicie, tato już nie będzie mógł wyjść więcej, puście mi tatę!« Płakało i szlochało rzewnym głosem, ale któż tam będzie słuchał marnej dzieciny, kto zważy, że ono za jedynym płacze, którego ona coś obchodziła, za ojcem swoim... Pochowali go, a dzwony biły, gdy wracali z cmentarza — wołając ludzi na nieszpory — bo to święto.

* * *

I minęło lat parę i święto znowu idzie...

* * *

Gromadka wesołych facetów wpada do kawiarenki. Tam muzyka wali, tam wesołe śmiechy — tam zabawa. Tam i robotnik całotygodniowy trud niesie, bo i on chce użyć żywota — a dziś sobota. Tam ubogi dyurnista szuka w trunku zapomnienia za głód całego miesiąca, a dziś ostatni, tam lichwą gniesiony pracownik pióra, szuka pociechy — przepije wszystko, byle lichwiarzom nic nie dać. Tam rozpasana radość, ten druh nędzy ciągłej.

W drugim dniu rozprawy przesłuchani żołnierze polic. Chojna i szewc Majewski nie zeznali nic uwagi godnego, tak samo, jak słuchany dnia poprzedniego właściciel realności Dank. Tow. Fraenkel żądał wezwania policyjanta, którego miał szarpać. Obecni na sali komisarze policyjni oświadczają, że nie znają tego żołnierza. Dalej podniósł Fraenkel, że agent Terlecki w śledztwie nie o szarpaniu się z żołnierzami nie wspominał.

Po odczytaniu różnych aktów zamknął przewodniczący postępowanie dowodowe, poczem nastąpiły wywody prokuratora i obrońców. Prokurator usiłował w kilku słowach uzasadnić oskarżenie w całej osnowie. Odpowiedzieli mu świetnie obrońcy dr. Grek i dr. Aszkenez. dr. Grek skreślił trafnie przebieg walki ludu o powszech. prawo wyborcze, scharakteryzował dzisiejszy jej stan, poczem wykazał bezpodstawność całego oskarżenia. Zeznania świadków policyjnych, którzy d. 19. listopada brali udział w walce z robotnikami, jako jedna strona walczących, nie mogą być wystarczającymi do uzasadnienia oskarżenia przeciw oskarżonym jako drugiej stronie walczących. Tymczasem świadek klasyczny Lech, który nie brał udziału w walce, zeznał na korzyść oskarżonych. Obrońca domagał się uwolnienia oskarżonych. Następnie mówił również znakomicie obrońca dr. Aszkenez, który wykazał, że jeżeli oskarżeni dopuścili się jakiej winy, to chyba tylko w kierunku przekroczenia ustawy o stowarzyszeniach i pochodach, przez to, że mimo zakazu rzekomo urządzili kilka pochodów.

Po dwugodzinnej naradzie ogłosił trybunał wyrok, zasądzający wszystkich oskarżonych z wyjątkiem Majewskiego i Lecha, których uwolnił. Szczegóły wyroku podaliśmy w poprzednim numerze. Wypadałoby obszerniej pomówić o tym wyroku, dla braku jednakowoż miejsca odkładamy to na później. Dziś tylko podajemy do wiadomości ogółu towarzyszy, że trybunał, który z lekkim sercem uchwałił tak surowy wyrok, składał się z następujących ludzi: **Heiderer, Nitarski, Figer i Dzierżyński.**

Przegląd polityczny.

Robotnicy wiedeńscy wnieśli podanie do ministra handlu, by na 1. maja dał im wielką rotundę w praterze na zgromadzenie. Prośbie tej odmówił minister, a to z powodu — *wystawy psów*, która tam wkrótce ma się odbyć. Objasnienie do tego zbyt czyste. Dla ministra psy oczywiście większe mają znaczenie, niż robotnicy. — Z powodu tego zakazu urządzają robotnicy 1. maja 46 zgromadzeń po różnych okręgach miasta, a popołudniu tłumną wycieczkę do prateru.

Klerykał Morsey miał bezczelną odwagę powiedzieć w parlamencie, że chłopci, którzy uczęszczają do szkół, nabierają złych obyczajów i oddają się — pijaństwu. Nie zanotowalibyśmy tych idyotyzmów klerykałnego durnia, gdyby nie ten znaczący fakt,

że część izby przyklasnęła tym wstrętnym wywodom!

Losy ustawy wyjątkowej w Niemczech stają się coraz bardziej niepewnymi. W komisji uchwalono przy drugim czytaniu wszystkie reakcyjne poprawki, wniesione przez katolickie centrum; skutkiem tego przestraszyli się liberali swego własnego dziecka i grożą, że nie będą głosowali za przedłożeniem. Rząd więc jest w wielkim kłopotcie, zwłaszcza, że coraz bardziej mnożą się protesty ze wszystkich stron kraju. Tak n. p. rada miejska w Berlinie uchwaliła jednogłośnie wysłać petycję do parlamentu przeciw ustawie przewrotowej. Rząd zakazał radzie miejskiej wysłać taką petycję. Ta jednak nie tylko że nie usłuchała zakazu, lecz nawet postanowiła zwołać zjazd wszystkich gmin niemieckich, by na nim zaprotestować przeciw ustawie wyjątkowej. — Ostatnie telegramy donoszą o przesileniu ministeryalnym w Niemczech. Obszerniej o tem doniesiemy w następnym numerze.

Czterdziesty siódmy poseł socjalistyczny został 26. b. m. wybrany do parlamentu niemieckiego. 16.500 głosów padło na kandydata socjalistycznego w Dreźnie, a cyfra ta świadczy wymownie, że rząd przez wniesienie ustawy antiprzewrotowej i innych reakcyjnych zapędów spełnia znakomicie rolę agitatora socjalistycznego. Tylko tak dalej!

W Danii odnieśli socjaliści przy wyborach do parlamentu świetne zwycięstwo. Podczas gdy dotychczas było tam tylko dwóch posłów socjalistycznych, to teraz wybranych zostało ośmiu. Zwycięstwo to wskazuje znowu na fakt, że socjalizm robi wszędzie, we wszystkich krajach olbrzymie postępy, i nie długim jest czas, kiedy przyjdzie — dzień zapłaty.

Zaświtał dzień...

Zaświtał dzień radości i wesela, wiosennych technów, blasków i promieni, dzień święta pracującego ludu, dzień 1. Maja.

Oczekiwany z niecierpliwością i upragnieniem nadszedł, a my witamy go z radością i zapałem.

Gdzież dąży ten tłum, odświeżnie odzianych robotników, wśród których tu i ówdzie przewija się chłopka sukmana lub płótnianka? Czem dzieje się, że pomarszczone zazwyczaj czoła — wiosenną dziś świecą pogodą? Jakaż siła zdołała wyciągnąć te pracowite mrówki z ich zaćmionych, wilgotnych pracowni, oderwać od tej taczki, do której przykuto je od dziecka, która stała się treścią ich życia ciężkiego, nędznego bez blasków i słońca?

To wiosna sprawia takie cuda! Wiosna

dziach, najpierw wystugiwałam się Marcinowej, u której po nas inni mieszkali, potem innym służyłam. Kazali do szkoły chodzić, a po szkole robić w domu, a co zrobiłam, było złe, co zjadłam, było za wiele, słoma na barłóg dla mnie była za cenną. Aż jednego pięknego wieczora przyszedł ten oto stary pan — tu wskazała na kierownika kapeli — wdał się w jakieś rozmowy z moim panem ówczesnym — a był nim stary żebrak z pod kościoła — i wziął mnie do siebie. Dziś wiem, że mnie kupił, że za mnie podpisano umowę na lat cztery. Od tego dnia zaczęła się męczarnia. W dzień grać ucza na flecie co mi płuca wzdyma i to uczyć się jak niewolnik, a w nocy do rana grać i z gośćmi pić — i *inaczej* gościom służyć...!

— A ileż ty masz lat dziecino?

— Piętnasty zaczęłam!

— Uciekaj od nich, choć do nas, dziewczę, ja i moja matka przytulimy u siebie dziecinę starego druha i wychowamy.

— Nie panie! — na mojem czole już hańba wyryta — nie ma dla mnie miejsca między ludźmi... Ale, ale muszę iść grać, a tu oczy opuchły z łez.

— Panno Rózo! Proszę do muzyki — już i ponczu nie ma, a panna siedzi tu ciągle — zawołał gospodarz zadąsany.

wolności i wyzwolenia z więzów niewoli, w którą włożył lud roboczy gwałt i przemoc, chytrość i swawola.

Zbliża się godzina, w której z ludzkości opadną okowy — a zapowiedzią tej godziny to głos ludu w dniu 1. Maja. I dlatego pogodnie są dziś czoła, dlatego radośnie spieszy on głos swój przyłączyć do głosu milionów braci całej kuli ziemskiej, dlatego porzucił dziś pracę.

I sztandar czerwony wysoko niesiony, kąpie się w słońca majowego promieniach i płynie po nad morza i lądy, ponad słupy graniczne i trony — a „proletaryusze wszystkich krajów” łączą się „i huczy „zemsty grom i ludów gniew”, wciskając się do pałaców możnych i spędzając im uśmiech z twarzy.

A pytasz bracie, kiedy nadejdzie owa godzina? Wówczas kiedy w dniu 1. Maja nie zabraknie ani jednego z nas, kiedy każdy gotów będzie za *wolność, równość i braterstwo* ponieść choćby największą oiarę, kiedy wszyscy staną pod sztandarem *socjalizmu*!

Sprawy bieżące.

Dzisiaj w dniu międzynarodowego święta robotniczego odbędzie się we Lwowie o 10. godzinie rano wielkie zgromadzenie ludowe pod gołem niebem na placu Franciszkańskim, popołudniu zaś o 3. godz. zabawa ludowa na Pasiekach za rogatką Łyczakowską.

Podobne zgromadzenia i zabawy odbędą się w Stanisławowie, Kołomyi, Stryju, Przemysłu, Krakowie, Nowym Sączu i innych miastach kraju.

W sprawie 1. Maja jak w całej Austrii tak i u nas odbyły się w kwietniu zgromadzenia. We Lwowie odbyło się d. 22. wieczór w sali „Gwiazdy”. Uczestniczyło w niem więcej niż tysiąc osób, z których część dla braku miejsca w sali zajęła dziedziniec i ulicę. Przewodniczył tow. Żelaszkiewicz. Referowali o pierwszym maju tow. Kozakiewicz, Danek i Schiffler. W dyskusji zabierali głos tow. Menkes i Turbacki. Z prawdziwym entuzjazmem uchwalono jednogłośnie rezolucję za jak najbliższym udziałem w uroczystości 1. Maja. Przy wnioskach postawił tow. Turbacki rezolucję wyrażającą oburzenie rządowi, że systematycznie zakazuje odbycia zgromadzeń po wsiach. Rezolucję tę przyjęto z zamianą wyrazu: »oburzenie« na niezadowolenie, jak o to prosił komisarz policyi. — Dzień przedtem odbyły się bardzo liczne zgromadzenia w Krakowie i w Czerniowcach, na których również z zapałem postanowiono święcić 1. Maja.

Przykład godny naśladowania. Mechanik W. N. we Lwowie ogłosił robotnikom u niego zatrudnionym, że pozwala im świętować 1. maja, a nawet obiecał im dać za ten dzień zapłatę. Postępowanie to stawiamy za wzór innym przed-

»Hej użyjmy żywota — wszak żyjem tylko raz!«

Nuta rozbrzmiewa wesoła. Panińska muzyka — jak ją zowią — same damy. Twarz jedna taka znajoma — znałem ją kiedyś, gdzie i kiedy, nie pomnę. Majaczy mi się w oczach pogrzech jakiś — cmentarz — mała dziecina. Ale ta dziecina jeszcze za mała, chyba — skądby ona tu się wzięła....

* * *

Podchodzę do muzyki. »Róziu!« wołam. Dziewczę się odwraca. Więc ona! Stanisława, druha mojego dziecę w tej norze zepsucia!

* * *

— Skąd pani tu przyszła? — pytam ją gdy się dziewczęciu przypomniał.

— Panie skąd? — odrzekła, trwożnie się oglądając, czy jej nikt nie słyszy — panie, nim mówić z tobą zacznę, każ coś dać, bo nam siedzieć nie wolno przy pustych stołach, musimy wydobyć jaknajwięcej od gości. Im kto więcej nam zapłaci, tem lepiej dla nas, tem lepiej się z nami obchodzą!

Zawołałem na służbę i dać kazałem co chciał kelner — byle mi wolną chwilę dali z dziewczęciem.

A potem ona mówiła: „ojca pochowali, był pan na pogrzebie — tułałam się po lu-

I Rózia starła zapłakane oczy i poleciała ku kapeli.

* * *

Wybiegłem — zadumany dążyłem przed sobą nie widząc drogi. Znalazłem się na cmentarzu. W blasku licznych płomieni gorzało miasto — stanąłem nad mogiłami biednych.

* * *

Zdała walił dzwon 12-tą godzinę. Jutro święto pracy — święto wiosennego zmartwychwstania. A mnie się zdało, że straszny płacz z tego grobu, nad którym stałem, się wydobywa jęk przeraźliwy.

Pochyliłem się — zaświeciłem zapałkę i spojrzałem na bardzo spłowiałą tabliczkę na grobie — to grób Stanisława, męczennika pracy — a w mieście tam w dali męczennica nędzy — córka jego, dziś córa rozpusty.

* * *

A gdy ją spotkasz na ulicy, lub do niej podobną, dziecę niewoli, w ramię rozpusty rzucone — to podnieś kamień i rzuć na nią, jeżeli — możesz.

K. Nacher.



siębiorem; przez szanowanie przekonań swych robotników więcej wskazują, niż przez brutalne obchodzenie się. Panu W. N. składają niniejszem zatrudnieni u niego robotnicy podziękowanie za taktowne postępowanie, jakie wobec nich okazał.

Z Załuża, poczta Zbaraż pisze nam tow. Sz. wieśniak z zawodu: „Muszę odezwać się z wielką radością o tem, że kwestya socjalna rośnie, że socjalizm poczyną puszczać swe promienie i na wieś. My wieśniacy przychylimy się do niego, witamy go z radością i będziemy swemi siłami go popierać, tylko nam potrzeba jak najszerzej z kwestyą socjalną zaznajomić się, czego spodziewamy się nam Wy pomożecie“, itd.

We wsi Sokolnikach koło Lwowa zwołaliśmy na dzień 21. kwietnia zgromadzenie ludowe z następującym porządkiem dziennym: 1) Emigracya do Brazylii. 2) Powszechne prawo wyborcze. Zgromadzenie nie przyszło do skutku, choć tłumy chłopów z całej okolicy się zebrały, ponieważ c. k. starostwo lwowskie w ostatniej chwili zakazało odbycia zgromadzenia, pod pozorem, że lokal, w którym miało się odbyć, jest za mały i może się spalić podczas zebrania. Wesoły motyw zakazu! A więc w powiecie lwowskim nie dopuszczają do zgromadzeń; na wsi konstytucya jest tylko na papierze.

Wójt z Sokolnik Walenty Sokołowski brutalnie rozpędzał zebranych około 500 chłopów, którzy, nie nie wiedząc o zakazie, przybyli ze wsi okolicznych na zgromadzenie. Wiejski ten pan policyant groził nawet, że „kompania wojska jest już ustawiona“. Zebrani nie ulegli się tej groźby, lecz przyrzekli na następne zgromadzenie przybyć w większej jeszcze liczbie.

Starosta Kolarzowski uważał za stosowne rozpędzić żandarmami poufne zgromadzenie zwołane wśród ceglarzy w Kozielnikach koło Lwowa. Radziliśmy wiedzieć, na podstawie jakiej ustawy o zgromadzeniach pozwala sobie lwowski starosta rozpędzać zgromadzenie w prywatnym domu zaproszeniami zwołane? Czy p. Kolarzowski sądzi, że Kozielniki już są po za granicami, gdzie obowiązują austriackie ustawy? Czy sądzi, że my jesteśmy obowiązani pouczać jego i jego żandarmów o poszanowaniu ustaw?

Budowniczy p. Biskup we Lwowie przyjmuje do roboty robotników, a potem bez ceremonii ich wydala, nie wypowiadając wcale na 14 dni. A pomaga mu w tem podmajstrzy Kwieciński, znany wyzyskiwacz, który Mazurów sprowadza do Lwowa, aby tylko tutejszym nie dać roboty.

Pan Kunicki, budowniczy we Lwowie, usiłuje wprowadzić napowrót 12-godzinny dzień roboczy, a popiera go w tem znienawidzony przez wszystkich robotników podmajstrzy Wojciech Hułan. Przestrzegamy towarzyszy budowlanych przed tymi wyzyskiwaczami.

Ruska odezwę o 1. maju dla chłopów ruskich skonfiskowała c. k. prokuratura. Drugi nakład został wydany.

Baczność! Rzeźbiarze! Komitet zwołujący międzynarodową konferencyę rzeźbiarzy, wydał następującą odezwę:

Koledzy! Ocknienie ze snu, setki lat trwające o służalstwa robotników, we wszystkich krajach cywilizowanych potężnieje z dniem każdym, w miarę, jak brutalny ucisk przemocy, obecnego społeczeństwa, postępuje w parze z kapitalistami, przedsiębiorcami i wogóle wyzyskiwaczami wszelkiego rodzaju. Na pierwszy ogień wystawieni robotnicy przemysłowi, szeregują się w miastach i na prowincyi i organizują, aby w walce politycznej i ekonomicznej się zaprawiać, chciwych zysku przeciwników trzymać w szachu i w stanowczej chwili wyswobodzeni przeciwstawić im zdrową, inteligentną i karną armię robotniczą. Czy towarzysze rzeźbiarze wogóle we wszystkich krajach są już zorganizowani? Odpowiedź na to wypaść musi przecząco! Biorąc na uwagę, że z wyjątkiem Niemiec i Austrii, w innych krajach nawet o organizacyach pomocników mowy nie ma i że kraje te posługują się po większej części za tanie pieniądze wyrzutkami z innych prowincyi, to zdaje się jest bardzo na czasie, aby najszybciej przystąpić do naprawy złego. W tym celu proponują niemieccy koledzy **konferencyę międzynarodową rzeźbiarzy** w Norymbergii (Bawarya) na miesiąc czerwiec br., która ma się odbyć bezpośrednio po niemieckim zjeździe

rzeźbiarzy. Komitet wzywa wszystkich kolegów-rzeźbiarzy do obesłania konferencyi. Gdyby która narodowość nie zechciała wziąć udziału w konferencyi, której dokładna data oraz porządek dzienny zostaną później ogłoszone, proszona jest o zakomunikowanie komitetowi urządzającemu powodów. Adres dla zgłaszania się, przesyłania wniosków do porządku dziennego itp. jest: **Gustaw Winkler, Berlin S. O. Wrangelstr. 135 I.**

Odezwa do polskich robotników. Towarzysze! Wiadomo Wam, że w Stanach Zjednoczonych istnieje wiele pism polskich; lecz żadne z nich nie jest pismem prawdziwie robotniczym, t. j. takim, któreby oświecało robotnika polskiego i wskazywało mu drogi do możliwego polepszenia nieszczęśliwego bytu jego.

Polscy robotnicy w New Yorku i okolicy, na zjeździe swym, odbytym dnia 10. lutego br., postanowili dołożyć wszelkich starań, żeby pismo robotnicze w języku polskim ukazało się jak najprędzej i wybrali komitet prasowy, mający się zająć zebraniem dostatecznych środków na ten cel. Otóż komitet ten zwraca się do Was bracia robotnicy, z prośbą, aby każdy z Was według możliwości pomógł nam w naszym przedsięwzięciu, które niewątpliwie okaże się nader skuteczną bronią w naszej walce z tymi, którzy nas gniją i nębia. Nie zapominajcie, że pióro jest silniejszym od oręża i że już czas, ażeby polscy robotnicy zbudzili się z uśpienia i nie pozostali w tyle po za robotnikami innych narodowości, które już od dawna posiadają swe pisma robotnicze. Za komitet prasowy: **A. Bentzig i J. Zbyszynski.** Wszelkie datki i korespondencje prosimy posyłać na adres: **A. Moren, 103 Grand Str. Brooklyn, N. Y.**

Strejk ceglarzy we Wiedniu skończył się zwycięstwem robotników. Dziesięć tysięcy towarzyszy strejkowało przez cały tydzień, aby wywalczyć sobie lepsze warunki życia. Stosunki tamtejsze są poprostu okropne. Robotnicy mieszkają w niskich barakach, a w jednym pokoju mieszka przeciętnie 4 do 6 rodzin, czyli 25—30 osób. Można sobie wyobrazić, jaka tam musi być atmosfera i jak to wpływa na zdrowie mieszkańców. Gdy przejdzie się przez szeregi strejkujących — opowiada naoczny świadek — i zobaczy się zdrowo wyglądającego człowieka, to wie się napewno, że to nie jest ceglarz. Dodajmy do tego nędzną płacę, złe obejście się przełożonych, a dostaniemy obraz nędzy, nędzy okropnej, jaka tylko możliwa w dzisiejszym kapitalistycznym społeczeństwie. Ci biedni, wyzyskiwani robotnicy ocknęli się nareszcie i porzucili pracę. Co na to policya i rząd? Policya »zaopiekowała się« strejkującymi i naturalnie nastąpiło zaraz kilka krwawych starć. Namieśnik zaś wysłał dragonów, by zastępowali strejkujących w robocie. Poseł Pernerstorfer interpelował ministrów z tego powodu w parlamencie. W świetnym przemówieniu wykazał bezgraniczną nędzę, w jakiej się znajdują robotnicy i okropny wyzysk ze strony przedsięwzięwców; napiętnował postępowanie organów rządowych, które stanęły po stronie wyzyskiwaczy. I stała się rzecz dziwna: nawet minister Baquehem, a nawet koalicyjni kołtuni przyznali słuszność Pernerstorferowi i zgodzili się na utworzenie komisji dla zbadania tych opłakanych stosunków. Wkrótce po tych wypadkach w parlamencie, przedsiębiorcy widząc, że nawet rząd ich opuszcza, zgodzili się na żądania robotników. Robotnicy więc **zwyciężyli w tej walce.** Zwyciężyli dzięki swej solidarności i dzięki poparciu robotników z całego Wiednia, z pomiędzy których towarzysze piekarscy np. zaopatrywali ich codziennie w chleb. **Robotnicy ceglarscy we Lwowie niech sobie dobrze zapamiętają te wypadki we Wiedniu!**

Artykuł nasz o cegielniach lwowskich już tu i ówdzie spowodował drobne poprawy i ulgi dla robotników; jedna cegielnia zaprowadziła już u siebie wypłatę pieniędzmi zamiast dotychczas praktykowanych kwitków, w trzech innych cegielniach (u Reissa, Meilecha i Maszlara) dano robotnikom sienniki. Jednak większość właścicieli nie myśli wcale o poprawieniu stosunków zdrowotnych swych robotników, a tych przedsiębiorców nieludzkich piętnujemy publicznie. U p. Icka Neuwohnera robotnicy mieszkają w norach, które grożą co chwili zawaleniem się; wypadki takie już się zdarzały, a któż wtedy ma odpowiadać za śmierć robotników? P. Krasucki

znowu nie chce zaznajomić się z ustawą przemysłową, która pozwala pracować tylko od 6. rano do 7. wieczór, jeno zmusza robotników do pracy od nocy do nocy. Czyż panowie ci wszyscy czekają, aż robotnikom będzie za dużo cierpienia i podobnie jak teraz towarzysze ich we Wiedniu zastanowią pracę i przemocą wywalczyć sobie swe słuszne żądania? Możemy pp. właścicielom zaręczyć, że nie długo będą potrzebowali czekać na ostateczny koniec swego brutalnego wyzysku.

Stosunki w c. k. fabryce w Winnikach są nader opłakane. Pracuje tam około 1500 ludzi, z tych większa część robotnic. Płaca jest tak nędzną, że poprostu wyżyć nie można. Robotnicy dzielą się na trzy grupy: do pierwszej należą t. zw. sztukowcy (głównie kobiety), którzy zarabiają tygodniowo 3 1/2 złr., a często nawet 1 złr.! Do drugiej grupy należą t. zw. blaszkowcy, którzy dostawali dziennie 44 ct., a niedawno, po zgromadzeniu zwołanem przez nas, podwyższono im na 46 ct. Trzecią grupę wreszcie stanowią t. zw. tygodniowcy, którzy biorą 5 lub 6 złr. tygodniowo. Obejście się przełożonych z robotnikami jest, jak już kilkakrotnie podnosiliśmy, poprostu niegodne cywilizowanych ludzi. Panowie ci sądzą, że robotnicy są bydlętem, którem można poganiać i potraćać wedle upodobania. Lecz przeliczają się oni, prędzej niż się spodziewają! Robotnicy pokażą im wkrótce, że są także ludźmi, może lepszymi niż oni wszyscy. Brakiem wychowania odznaczają się szczególnie, oprócz dawniej wymienionych, adjunkci Wolanek i Fürich. Jedynie inspektor fabryki ma być człowiekiem więcej ludzkim, niż jego podwładni.

Zgromadzenie chłopskie na pierwszego maja we Lwowie, zgłoszone przez komitet ruskiej chłopskiej radykalnej partyi, zakazała dyrekcyja policyi pod pozorem, że przybycie większej ilości chłopów do Lwowa w czasie, gdy »część młodzieży rzemieślniczej i wyrobniczy świętkują ten dzień powszechnem bezrobociem« może zagrażać bezpieczeństwu publicznemu. — Ukaz ten świadczy najlepiej, jak dalece ustawa o zgromadzeniach jest elastyczna i podobnie jak wyżej motywując. mógłby pan Badeni, — oczywiście na papierze, przynajmniej w odniesieniu do robotników — zabronić wszelkich zgromadzeń w kraju. Robotnikom zazwyczaj pozwala władza odbywać zgromadzenia, bo wie, że ci postawią na swoim, ale chłopów — bagatelizuje się jeszcze! W przeciągu 2 ostatnich tygodni zakazano odbycia 3 zgromadzeń chłopskich w powiecie lwowskim.

Zgromadzenie robotników piekarskich we Lwowie odbyło się w sobotę d. 27. zm. pod przewodnictwem tow. Trojana przy udziale około 400 piekarzy. Uchwalono świętować d. 1. maja zaprzestaniem pracy i jak najliczniejszym udziałem w uroczystości. Dalej postanowiono, gdy statut stowarzyszenia zawodowego i zapomogowego robotników piekarskich zostanie przez władzę zatwierdzony, stowarzyszenie to popierać jak najenergiczniej.

Kasa chorych m. Lwowa. Wybory delegatów do Kasy chorych m. Lwowa odbyły się dnia 21. b. m. w sali ratuszowej. Wedle dokonanego 23. b. m. skrutynium **lista przez robotniczy komitet poparta zupełnie przeszła. Dnia 21. odbędą się wybory zarządu, wydziału nadzorczego i sądu polubownego.** Wzywamy towarzyszy, którzy są delegatami, aby przybyli wszyscy i głosowali na tę listę, która będzie zaopatrzona pieczęcią „Proletaryatu“ i podpisem przewod. komisji wyborczej K. Nachera. Tylko solidarnem zachowaniem się uzyskamy większość w zarządzie.

Koresp. redakcyi Redakcyi Słowa Prawdy we Lwowie odpowiadamy, że my wogóle żadnych kompromisów z innemi partyami nie zawieramy. Wszelkie porozumiewanie się z redakcyą „Słowa Prawdy“, które to pismo „możni i szlachta dość życzliwie popierają“ — jak nas zapewnia p. redaktor naczelny Leonard Krzeczkowski — odrzucamy z oburzeniem i wstrętem. Jeżeli red. „Słowa prawdy“ ma do nas interes jaki, niechaj się pofatyguje do lokalu redakcyi naszej w »Grand-hotelu« lub do mieszkania redaktora naszego ul. Ossolińskich l. 14.

Lokal redakcyi i administracyi „N. Robotnika“ przenosimy d. 2. maja do passażu „Grand-hotelu“ przy ul. Karola Ludwika.

Lokal „Sily“, „Ogniwa“ oraz stowarzyszeń robotników budowlanych od d. 2. maja również w passażu „Grand-hotelu“.

PIERWSZY MAJA

Armia postępu.

W majowym słońcu lśnią sztandary
I ciągną pułki niezliczone —
A pieśń, ognistej pełna wiary,
Huczy, jak fale wód spienione.

Idą tak dumni w blaskach słońca,
A w oczach zapał im się żarzy —
Od końca świata aż do końca
Przed nimi błędnie zastęp wraży.

Idą wciąż dalej — moc ich rośnie —
Nie tych zuchwałych nie powstrzyma —
I hardy okrzyk brzmi rozgłosnie:
Dla śmiałych żadnych przeszkód niema.

Dziwna to armia! Nie Cezary,
Ani Atylle w bój ich wiodą,
I nie królewskie ich sztandary,
Ni ksiądz święconą cześć je wiodą.

Pod czerwonymi sztandarami
Idzie — o dziwo — wojsko nowe:
Własnej swej sprawie oni *sami*
Dali te godła — te bojowe.

Dziwna to armia! Rzekł Bicz boży.*)
Gdy szedł na Romy kwiecie błonie:
»Nie wszędzie trawa ni kwiat hoży,
Gdy stąpią Hunnów moich konie«.

Gdzie hufce przejdą zaś *czerwone*,
Tam kwiat wyrasta wnet uroczy,
Niwy tam cudnie umajone:
Tam kwiat wolności nęci oczy.

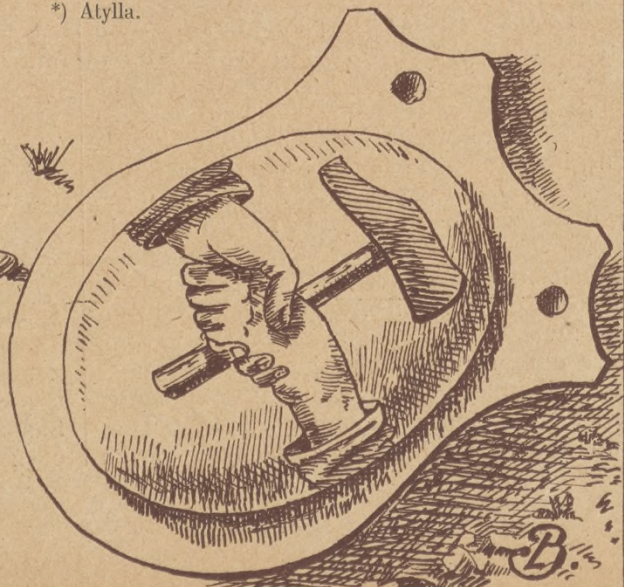
O, dziwna armia — armia święta!
Ona nie idzie ścieżką zniszczenia —
Lecz tępić chwasty, targać pęta
I płoszyć nocy groźne cienie, —

Armia postępu i swobody,
Co rzuca wieści nam radosne,
Zwiastuje przyszłe świata gody,
Po ciężkiej zimie — cudną wiosnę.

W majowym słońcu lśnią sztandary
I ciągną pułki niezliczone —
A pieśń, ognistej pełna wiary,
Huczy, jak fale wód spienione!

F. P.—I

*) Atylla.



Program polityczny

stronnictwa socjalistycznego.



Minął ten czas, kiedy oddzielano sprawę społeczną od politycznej. W Niemczech, dzięki w znacznej części umysłowemu wpływowi Marxa, Engelsa, Lassalle'a, Liebknechta i licznych tłumaczy ich myśli, zawsze rozumiano ściłą łączność jednej z drugą. Inaczej bywało we Francji i w Belgii. Dzisiaj zaś w tych państwach stronnictwo socjalistyczne stało się jeszcze bardziej politycznym, aniżeli w Niemczech. Chwycono się w nich broni, której dotąd używano wyłącznie tylko w sprawach ekonomicznych: znowy — dla wywalczania praw politycznych. Widzieliśmy to na wielką skalę w Belgii w walce o powszechne głosowanie; przygotowuje się coś podobnego i we Francji na wypadek, gdyby większość parlamentu przyłożyła swą rękę do knowanego przez senat ograniczenia ustawy o syndykatach robotniczych.

I w samej rzeczy, jeżeli pewne zasady już na tyle się rozpowszechniły, że się sformowało nowe stronnictwo, jeżeli z pola walki teoretycznej przechodzi ono na pole działalności praktycznej, to musi przekonać się wkrótce, że rozdział pomiędzy sprawami społecznymi i politycznymi, trudny już w teorii, staje się zgoła niemożliwy w zastośowaniu praktycznym. Ta trudność jest tak silna, że zmusza demokratów, chcących zachować starą wiarę społeczną, do wyrzekania się swych dawnych haseł i do opuszczania swego dawnego sztandaru. Zająwszy w kwestii socjalnej środkowe miejsce — jak się wyraził niedawno jeden z waszych demokratycznych postów — zmuszeni są oni zająć także samo miejsce i w sprawach politycznych. I niepodobna bardzo się dziwić temu, że nie chcą oni powszechnego głosowania, które z pewnością pomnoży szeregi nowowierców. Z tegoż powodu francuscy radykałowie opuszczają jedną za drugą dawne swe pozycje polityczne, a socjaliści, zajmując te opuszczone pozycje, stają się we Francji jedynymi prawdziwymi szermierzami wolności politycznej i równości praw obywatelskich.

Podobne zjawisko spostrzegamy i u nas: we wszystkich trzech zaborach. Jeżeli rozpatrzmy się w programach i działalności naszego stronnictwa demokratycznego, tak jak one się przejawiały, aż do ostatniego naszego powstania, to okaże się, że dzisiejsi socjaliści są więcej mu duchem pokrewni, aniżeli dzisiejsi demokraci. Nie mówię o Konarskich, Worcellach, Dembowskich, ale taki Heltman, taki Mierosławski, zwłaszcza z czasów 1848 r., nie znaleźliby ani posłuchu, ani poparcia pomiędzy dzisiejszymi demokratami.

To rozszerzanie i wypełnianie programu stronnictwa socjalistycznego w kierunku politycznym, jakie daje się widzieć wszędzie tam, gdzie stało się lub staje się stronnictwo to potęgą polityczną, jest naturalne, konieczne i wielce znamienne. Najbardziej zaślepieni zaczynają przecierać oczy i odczuwać, że nowe zasady zwyciężają i że gotuje się rychło ważna przemiana stosunków społecznych. Zawzięta walka, jaką socjaliści staczali w parlamencie francuskim przeciwko tak zwanym zbrodnictwom ustawom, które ograniczyły wolność prasy i zgromadzeń, i przeciwko reakcji uosobionej w Perier'ze, roznieciło sympatyę dla socjalizmu nawet w odległych i głuchych kątach

Francji. A kiedy Perier, zrzekłszy się dostojenstwa prezydenta, uciekł z pola walki, z uciśnionej piersi narodu wyrwał się mimowolny, radośny i niemal powszechny okrzyk: Socjaliści przecież zwyciężyli!

Stronnictwo, które zdobywa w narodzie to przekonanie, że bronione przezeń zasady i interesy odpowiadają istotnym potrzebom całego narodu, wyjawszszy względnie małą tylko część onego, staje się stronnictwem prawdziwie narodowym — rzecz nawet można — jedynie narodowym. Zwycięstwo jego jest tylko kwestią czasu.

Dla każdego narodu niepodległość jest pierwszym warunkiem normalnego rozwoju, ale konieczność onej odczuwa się gwałtownie zwłaszcza przez te narody, które noszą w swych piersiach wyższy ideał społeczno-politycznego ustroju. Najczulszem więc musi być to stronnictwo, ideałem którego Rzeczpospolita, w której niema miejsca dla wyzysku i krzywdy, w której staje się niemożliwą klasa próżniacza, a jednak przemożna, a za to dla każdej rzetelnej i uczciwej pracy otwiera się szerokie pole, w której wolność i równość przestają być czczymi wyrazami, i w której nie przy stole bankietowym, nie przy pułachach z winem, ale w znoju życia codziennego rozbrzmiewa nasze staropolskie: k o c h a j m y s i ę!

Niepodległość narodowa jest dla stronnictwa socjalistycznego gwałtowniejszą potrzebą, aniżeli dla innych stronnictw. Wydziedziczonym, wyzyskiwanym, gnębionym i upokarzonym milionom może ona słowami genialnego wieszczki powiedzieć:

Dla was Ja i Ojczyzna to jedno!

Bolesław Limanowski.



J tak często bywa.

Opowiadanie majowe.

— No, cóż myślicie — towarzysze, 1. maja świętujemy, nieprawdaż? — zawołał Staszek, młody robotnik, wchodząc do warstaku ślusarskiego, gdzie już wszyscy czeladnicy byli zebrani i z niecierpliwością oczekiwali pojawienia się p. majstra Moczymordy, by im zapłacił ich tygodniowy zarobek. P. Moczymorda obchodził uroczystość koniec tygodnia i po wczorajszej pijatyce jeszcze w najlepsze chrapał.

Słowa Staszka przerwały toczącą się rozmowę i wszyscy zwrócili oczy na niego. Wszystko tam w tych kilkunastużrenicach można było wyczytać: i sympatyę i chytrą i szyderstwo i lekceważenie. Staszek był najmłodszym w warstacie. Czas jakiś trwało milczenie, po którym wszyscy jakby na komendę odrazu zaczęli mówić.

— My i tak mało zarabiamy, że zaledwie człek wyżyć zdoła. Już i bez tego tyle świąt w roku obchodzimy; po co nam ni z tego, ni z owego porzucić pracę w jakimś dniu powszednim, niewiedzieć, dlaczego i na co?

— Jabym przeciw świętowaniu nic nie miał, świętować lubię, ale wtedy, kiedy mnie się podoba, a nie na czyjąś komendę — mówił drugi.

— O, nasz Staszek to zawsze coś nowego ze zgromadzenia przyniesie, mówił inny.

Staszek się uśmiechnął, obu łokciami wsparł się na warstat i z spokojną uwagą wpatrywał się w otaczających.

— Tak jest — zaczął powoli — ja zawsze coś nowego przynoszę ze zgromadzenia i mocno żałuję, że was tam nigdy spotkać nie mogę, a szkoda, bo wiele ciekawych rzeczy dowiedzielibyście się, zrozumielibyście np., dlaczego robotnicy, a więc my obchodzimy mamy uroczystość 1. maja. Samo święto jest nowe, to prawda, lecz czyż wam stara bieda tak smakuje, że

wszystko, co nowe, już się wam z góry nie podoba? Cały rok, ilekroć któremu z nas krzywdą się stanie, narzeka po kątach, zaciska pięście i zgrzyta bezsilny zębami, a krzywdziciel śmieje się i drwi z takiego kiwania palcem w bucie — czy nieprawda p. Ciemięgo — zapytał Staszek zwróciwszy się do starszego czeladnika.

„Ale jest jeden dzień w roku, kiedy skargi i żale nasze nie wywołują drwin, lecz błąd strach na twarzach wyzyskiwaczy, jest jeden dzień, kiedy panowie pilniej i uważniej przysłuchiwać się muszą wołaniom ludu pracującego, a tym dniem jest zbliżający się 1. maja. To jest coś na kształt dnia sądowego dla tych, co żyją z pracy cudzej i tuczą się krzywdą słabszego. Nie tylko w naszym mieście, nie tylko w całym kraju, ale na całym świecie, jak długi i szeroki, robotnicy świętowaniem w dniu tym okazują, że dążą przez zbratanie wszystkich ludzi pracujących do zaprowadzenia lepszego ładu na świecie.

„W dniu tym, co roku odbywa się przegląd sił tej wielkiej armii robotniczej, co się międzynarodową socjalną demokracją nazywa, aby dowiedzieć się, ilu nowych bojowników zaciągnęło się pod czerwony sztandar, a ilu śpi jeszcze gnuśnym snem obojętności na wszystko, co się pod ich nosem dzieje. I oto liczba wyznawców nowej ewangelii wzrasta się ciągle, wolność, równość i braterstwo coraz szerzej i głębiej rozbrzmiewa i staje się hasłem wszystkich tych szlachetnych i uczciwych ludzi, którzy nie chcą wybijać pokłonów złotemu cielcowi. Poznamy wprawdzie w tym dniu, jak nam daleko do urzeczywistnienia tych wzniosłych ideałów, ale to nie zachwieje w nas otuchy, nie napełni zniechęceniem, lecz owszem zagrzeje do działalności zarówno gorączkowej, jak wytrwałej, aby przyspieszyć przyjście Wielkiego Dnia Wyzwolenia Ludu Roboczego.“

Staszek mówił płynnie i z zapałem, jak zresztą mówi każdy uświadomiony robotnik o majowej manifestacji. — I wobec tego wszystkiego — ciągnął po krótkiej przerwie dalej — my mielibyśmy wtedy stukać i dzwonić młotem, kiedy cicho i pusto będzie we wszystkich fabrykach na całej kuli ziemskiej, mielibyśmy tę uroczystą ciszę przerwać? Nie! Znadto dobre wyobrażenie mam o was, abym mógł myśleć, że wśród nas znajdują się tacy nędznicy.

Tu musiał się wstrzymać widząc, że go za daleko porywa uczucie.

— No, no nie potrzebujesz się tak bardzo irytować — rzekł Mitrega, flegmatyczny czeladnik w średnim wieku — my wszyscy tak samo myślimy, jak i ty, ale pracy w tym dniu porzucić nie możemy; zresztą i bez nas tam się jakoś obejdzie.

— Obejdzie się, powiadacie? — zawołał z ironią Staszek — a zacie wy anegdote o rabinie, któremu żydzi na imieniny zamiast beczki wina, zrali beczkę wody; takie zachowanie się z naszej strony zakrawałoby zupełnie na coś podobnego. Gdyby tak każdy powiedział, jak wy, to wszyscy zostaliby w warstatach i na wstyd i hańbę robotnicy w naszym mieście pracowałiby jak bydłta robocze, stając w przeciwieństwie do robotników całego świata, w których obudziło się poczucie ludzkiej godności i interesu klasowego.

— Staszek ma słuszość — zawołał Laskowski, który od początku spoglądał przyjaźnie i potakiwał każdemu słowu Staszka. — Pierwszego maja idziemy wszyscy rano na zgromadzenie, a po południu na wycieczkę do Zielonowa; w warstacie niech pracuje p. Moczymorda, jeśli zechce, z nas żaden nie dotknie młota, wyjątkami być nie chcemy!

— A jużci, że nie — zawołali inni chórem, w którym nie brakło już ani głosu Mitregi, ani Ciemięgi.

W tej chwili wszedł chwiejnym krokiem p. majster Moczymorda we własnej osobie, ziewnął parę razy, przetarł kilkakrotnie brzocho i dobył zatłuszczonego pugilaresu, by rozpocząć wyplatę.

Nadszedł dzień 1. maja. P. Moczyłmorda chodził po warstacie swoim, rwie ze złości sumiaste wąsy i strasznymi słowami wyrzeka na niewdzięczność, lenistwo i bezbożność tych buntowników, co dzisiaj nie przyszedli do roboty. Lecz nie monolog to prowadzi p. majster, w kącie stoi czeladnik Wyzuwicki i pobożnie wsłuchuje się w słowa swego pryncypała.

W znanej nam niedzielnej dyskusji Wyzuwicki wcale nie zabierał głosu. To człowiek spokojny, nie mieszający się do niczego, który lubi nad niczem nie myśleć, a słuchać tylko, co mu przełożony każe, przytem jako członek stowarzyszeń kościelnych »Róża« i »Perła mądrości« uczęszcza na kazania OO. Jezuitów.

Od nich dowiedział się, że to właśnie socjaliści t. j. ludzie najgorsi, jakich kiedykolwiek ziemia święta nosiła, urządzają w grzesznych i przewrotnych celach demonstracje 1. maja — i dla tego został dziś w warstacie. Zresztą i p. majster nie uwolnił go w tym dniu od pracy. To też obecnie podziela w zupełności oburzenie p. majstra, którego najbardziej to gniewa, że oddalić wszystkich za karę nie może, bo straciłby zdolnych ludzi i nie wydołałby licznym zamówieniom. Rzucał się p. majster, skakał, pisał się, lecz nie mogąc się zemścić, potoczył się wkrótce do pobliskiego szyneczku, aby zalać złość i poskarżyć się na lenistwo i niewdzięczność swoich ludzi przed p. Łapikwart, majstrem stolarskim, którego spodziewał się tam znaleźć.

Wyzuwicki został sam. Przyzwyczajony codziennie rano brać się do pracy wraz z towarzyszami, dziś osamotniony — bo i terminatorzy gdzieś się ulotnili — stanął przy ścianie, skąd rozciągał się widok na ulicę i popadł w zadumę. Po ulicy snują się małe grupy robotników, wszyscy odświętnie odziani, na twarzach ich radość a w oczach otucha i nadzieja jakaś dziwna, nieokreślona. Idą, gwarząc lub nucąc z cicha. Miasto przybiera fizyognomię niedzielną. A Wyzuwicki stoi i patrzy i choć tak nie lubi wszelkiego myślenia, musi myśleć i myśli same tłoczą się do głowy.

Czemu oni tak dzisiaj wszyscy weseli, czego się spodziewają, czego chcą. Książd jezuita żadnego święta nie zapowiadał, a tu tyle ludzi nie pracuje, jak w uroczyste święto.

I przyszedł mu na myśl słowa Staszka i zaczął każde z nich rozbić, rozważać, porównywać ze słyszanem w kościele i — o dziwo — nie mógł dopatrzeć w żadnym słowie, ani cienia zdrożności, bezbożności lub czegoś podobnego. Kto tu ma słuszość, czy Staszek, jego towarzysz pracy, na którego uczciwe postępowanie codziennie patrzy i którego zna jako uczynnego i serdecznego chłopaka, czy też ten tajemniczy jezuita Szwarz, który piorunuje na socjalistów z ambony, a którego czynności poza kościołem on kontrolować nie może.

W tej chwili przeszła większa grupa robotników ulicą i jakiś ciekawszy zaglądnął przez szybę u drzwi do warstata p. Moczyłmordy. Wyzuwicki mimowolnie cofnął się i przykucnął, aby nie być widzianym. Gdy obcy odszedł, Wyzuwicki wyszedł na środek warstata i uśmiechnąwszy się, zapytał sam siebie, dlaczego chciał się ukryć przed obcym wzrokiem. Przecież niczego złego nie czyni, czegoż miałby się wstydić, przyszedł do warstata, jak w każdy dzień powszedni. Lecz w tej chwili usłyszał jakiś głos wewnętrzny z głębi serca: To nie jest dzień powszedni, to jest wielkie święto robotnicze, to jest uroczystość, której w całym roku nie ma równej, a ty pracując dziś, powinieś się wstydić. Czyż ty chcesz być nędnym wyrzutkiem z grona towarzyszy, czyż ci wstyd nie pali czoła, że kiedy bracia twoi wołają do możliwych tego świata: „dajcie nam nasze prawa, dajcie nam być godnymi człowiekami“! ty swoim zachowaniem się potwierdzasz zdanie wrogów ludu roboczego, którzy powiadają, że robotnicy są zadowoleni i szczęśliwi.

Wyzuwicki gwałtem chciał się opędzić od tych myśli, jak od much dokuczliwych i sam nie wiedząc, co robi, pochwyił za młot. W tej chwili uderzył w jego uszy potężne dźwięki marszu majowego:

Dziś nikt nas do pracy nie zmusi
Bo dzień ten przez lud jest obrany,
By poczuł, by poznał swą godność człowieka,
By zerwał, by

To demonstrujący robotnicy przeciągali z pieśnią na ustach przez miasto. Wyzuwicki nie wytrzymał. Cisnął młot o ziemię, zatrzasnął drzwi warstata i w jednej chwili znalazł się wśród demonstrantów. *Józef.*



Pierwszy Kwietnia a Pierwszy Maja.

Szkice.

Achwilę, kiedy zima ostatnie siły wyteża, aby świat zatrzymać w swym lodowatym uścisku, kiedy zawiera przymierze z najsroższymi z surowych wichrów wschodu i północy, aby zmrozić i zniszczyć wszelki zadatek wiosny w przyrodzie, w takiej to chwili dnia 1. kwietnia 1815 r. urodził się jako syn zadłużonego szlachcica pomorskiego — człowiek — którego przeznaczenie było, być jednym z ostatnich wielkich bojowników za ciemnotę i niewolę ludów i za panowanie reakcji. Ten potężny bojownik — to żelazne bożyszcze dzisiejszych oficjalnych Niemiec, to... książę Bismark.

Czy zaprawdę nie dziwny to palec losu, nie dziwny a mimowolny, ale niemniej gryzący dowcip historii? Oto w chwili..., kiedy złoty promień wiosenny swobody, począwszy od rewolucji francuskiej, w szeregu ruchów ludowych — topił lody nagromadzone przez moźnych, kiedy jutrzienka wolności zdawała się być bliską, Boreasz pruskiej północy, Bismark, dnia marcowe uroczyste wiosny 1848 r. zamienił w kwietniowe mrozy i śniegi reakcji i niemi jak całunem przykrył Europę. Ale tak, jak śniegi kwietniowe giną w ciepłe wiosennych podmuchów, tak dziś całun wstępnictwa bismarkowskiego pęka w kawały, a majowe słońce wolności ludów przenikać poczyna najodleglejsze zakątki.

Skądżeż jednak ten człowiek zacerpnął siłę taką, kto mu dał moc ową piekielną, która mu pozwoliła na tak długo milionom ludów nałożyć obrożę na szyję i prowadzić na smyczy niby swe psy kanclerskie? Wszak ludy były silniejsze niż on, a idea wolności i równości demokratycznej mocniejszą i moralniejszą niż samowładztwo. Tak, lud jest silniejszym, ale lud świadomy praw swoich i świadom tego, że bez wolności życie społeczne, to jad i trucizna. Niewolnik zaś, nie odczuwający swojego upokorzenia, jest tą ciemną potęgą, której i każdy mający moc ducha i siłę pięści użyć dla swych celów potrafi. A im większy tłum takich niewolników, tem potężniejsi są ich panowie — Bismarki. I oto tajemnica rządów, polityki, dyplomacji i powodzenia Bismarka. Instynkt krzyżacki średniowiecznego rycerskiego rabusia szeptał mu ową zdrową, realną myśl, że brutalna kanciasta pięść ciemnego żołdaka z ławością roztrząsa i najmędrszą i najmoralniejszą czaszkę filozofa, że „*siła jest przed prawem*“. Rozum i obserwacja bystra pokazywała mu miliony ciemnego ludu, który wytresowany dobrze, w takt bębna i trąbki będzie mordował i wyrzynał w pień co mu każe i jak mu każe.

Kanta*) nie czytał, ani o jego teoretyczne wnikanie w niemiecką, służalczą naturę (deutsche Bedientennatur) nie dbał, ale za to znał ją na wylot ze swoich praktycznych junkrowskich doświadczeń i umiał jej zażyć. Metoda jego była więc prostą i jasną.

»Wymustrowane pruskie bataliony to siła, nią złamię wszystkie przeszkody stawiane w imię baśni mamek filisterskich o wolności, prawach przyrodzonych i kulturze.« Był zaś na tyle otwartym i pewnym siebie, że marzycielom mieszczańskim rzucił bezczelnie prawdę ową w oczy, a kiedy objął w 70 latach przewodnictwo ministerium pruskiego, umiał »zasady bez zasad«, jak sam dumnie o swoich prze-

*) Najslawniejszy niemiecki filozof.

konaniach mówił, zamienić w czyn. Zdeptał więc nogami w czasach głośniego sporu między postępowcami a królem, zagwarantowane niegdyś przez koronę prawa, a na wszelkie protesty odpowiadał wymownym gestem, wskazującym na las bagnetów żołdackich. Ale dla natury o tak chciwej osobistej władzy za mało było Prus, on postanowił świat cały uczynić pruskim, chciał, aby wszyscy karki ugięli pod jego kirasyerskim butem, i aby przed pikelhaubą pruską kłaniano się, jak niegdyś w Szwajcaryi przed kapeluszem Gesslera.

I naprzód na wspólną z Austrią napadł na małą Danię i w r. 1864 urwał jej kawał czysto duńskiego kraju, potem jednak, aby ów Szlezwig Holsztyn zagarnąć wyłącznie dla Prus i pozbyć się Austrii rywalizującej co do siły w Związku niemieckim, wypowiedział jej wojnę w chwili, gdy walczyła z Włochami i zgniół ją na polach Sadowy w r. 1866. Austrię przez to nazawsze opuściła Związek (Bund) i politykę wielkoniemiecką i zmuszoną została jąć się polityki równouprawnienia narodów u siebie. Sprusaczeniu Niemiec — bo to było celem dalszym »zjednoczenia« — stał jedynie na przeszkodzie przemożny wpływ Francji i Napoleona III. Małego. Wprawdzie już przedtem »zjednoczył« Hanower z Prusami zdarłszy, mimo całego swego monarchizmu, bez ceremonii koronę z głowy następcy króla hanowerskiego, ale teraz miało nastąpić zjednoczenie w większym stylu.

Wojna z Francją była więc dla niego konieczną, a on przyspieszył ją sfalszowaniem sławnej emskiej depeszy Wilhelma I. Francję zwyciężył, upokorzył, pozbawił ją dwóch najpiękniejszych prowincji i na gruzach wpływów francuskich krwią, błotem moralnym i żelazem sklepił i skuł jedność niemiecko-pruską. Cel swój osiągnął. Zapewnił sobie rządy niepodzielne w Prusach — Prusakom dyktaturę w Niemczech — Niemcom pierwszeństwo w Europie. Sam został pierwszym kanclerzem Niemiec „i bał się teraz tylko Boga...“

Z „*bożą*“ pomocą począł robić w Niemczech wewnętrzny »porządek«. Powszechne prawo głosowania, dopuściwszy ciemne masy do urn wyborczych, miało zniszczyć wpływ polityczny mniej licznej wrogiej burżuazji. Polacy, Duńczycy i Francuzi powinni być za wszelką cenę zniemczeni, a katolików musi się napoić duchem protestanckim. I rozpoczął się według powyższej melodii wściekły rozpętanie, który Niemcy do dziś po bezdrożach prowadzi.

Nakoniec przyszła kolej na socjalistów... Dopóki się w latach 70-tych jemu zdawało, że tak zwanych lassalleńczyków zdoła przykuć do swego rydwanu i w ten sposób osłabić liberałów, dopóty socjalistom nie stawiał w agitacji wybitnych przeszkód. Po wojnie jednak 1871, jak zniarkował, że wpływ ich rósł poczyna i to dzięki powszechnemu głosowaniu — wnet począł doświadczać swej siły. Więzienia i kary posypały się jak z rogu obfitości. Ale jemu tego było za mało. Za pomocą, przez uchwałę parlamentarną wydanej w r. 1878 ustawy wyjątkowej przez lat 12 pastwił się bezlitośnie nad każdym, który uchodził za socjalistę. I oto stanął u szczytu swojej potęgi. Półbożek klas rządzących w Niemczech, głowa i ręka cesarza, trząsł Prusami, Niemcami i światem. Wrogowie jego zewnętrzni i wewnętrzni zgnieci, upokorzeni, bezsilni... Siła brutalna stała się dogmatem, w którą wierzyli wszyscy i bili pokłony... Bagnet i działo i karabin ulepszony uznane za jedyne dobytki kultury. I każdy krak, bogdaj jak mały, tworzył sobie swoich Bismarczków i pomnażał panowanie bagnetów. I zaroził się świat cały od Crispich, Stambułów i Christiczów serbskich, a nawet i nas, o wstydzie!... los nie ominął. Wszędzie, wszędzie znaleźli się ludzie, którzy potęgę swą budowali na ciemnocie i na bagnetach.

I Bismark był wielkim. Był, bo dziś... dziś jest inaczej. Dziś wydarto mu władzę z dłoni, pozbawiono go możliwości panowania. A wydarła mu władzę siła, którą on w swoim interesie starał się wzmacniać, wydarła mu władzę monarchia... Wnuk Wilhelma I. wypędził rządcę domu swego dziada... Ów wszechmocny światła pan, dziś bezsilnym, złamanym starcem. A świat... świat idzie tą drogą, jaką poszedłby dawno bez niego.

Socjaliści wolni od ustaw wyjątkowych, rosną w siły i drwią z wszelkich gróźb jego dawnej straży przybocznej. Znienawidzone centrum katolickie prym wiedzie w jego parlamencie. Uciskane i gwałcone zaś narody nie niemczą się wcale.

A gdzieindziej? Gdzieindziej! Oto Stambułów runął w Bułgarię, nędzna karykatura panamska Bismarka, Perier, opuścił trwoniwie stanowisko, Crispiego i Christicza zaś dni policzone. Obraz ten sam.

I oto kiedy w 80-letnią rocznicę, dnia 1-go kwietnia wszyscy wielbiciele przemocy, którym jego polityka nosła kęsy tłuste i pożywne — składali mu krzykliwe życzenia — to »jego« parlament odważył się nie przynieść jemu ni życzeń, ni darów. Co więcej, ten parlament, aczkolwiek sam obdarzony »oburzeniem« cesarza, żyje sobie dalej spokojny — pewny, że go nie odeszła do ludu niemieckiego, bo lud za nim stoi. Bismark dziś po przez wszystkie dymy oficjalnych kadzideł, po przez wszystkie wrzaski tem głośniejszemu krzyżującemu, im mniej licznej wierzchniej garści, widzi rozpadającą się w gruzy swoją świątynię siły pruskiej i słyszy już zbliżające się kroki zwycięskiej demokracji.

Pierwszego kwietnia stanęło przed nim potężne widmo święta majowego — widmo socjalizmu... »Tyle serc bije miłością dla książęcej mości« — szeptał mu niedawno pechleba. — »A tyle nienawiścią« — dodał żelazny.

Tak, nienawiścią bije dlań serce ludu, ale nienawiść ta to nie chwilowy wybryk fantazji, to nie ów kaprys tłumu jerozolimskiego, który wołał dziś: »Króluj nam«, a jutro »Ukrzyżowaj go«, nie, to wyraz głębokiego pragnienia wolności i sprawiedliwości w życiu społeczeństw. A owo tak żywe i tak potężne pragnienie, które dziś przeniknęło całą świadomość klasy robotniczej, pragnienie wolności, to rękojmią, że Bismark jest ostatnim z owych wielkich ogniw, które, poczynając od Ludwika XIV, tworzyły łańcuch zakuwający w niewolę ludy... Pragnienie demokracji zupełnej uczynienia wszelkich duchowych i cielesnych zdobyczy kultury, wszelkiej nauki, sztuki i uciechy własnością narodu. To socjalizm...

Wyrazem tego dążenia Pierwszy Maja. A chociaż w dniach marcowych w r. 1848 wiosnę wolności ludów zmroźono na lat dziesiątki, to przecież wiosny nie zniszczono. Wiosna przychodzi, a wita ją wstające majestatycznie z puchowego łoża przejrzystych obłoków słońce i wita ją las dłoni czarnych, spracowanych, wyciągniętych ku Niej, ku Potężnej... A po wiosnie, później tem lepsze i urodzajniejsze lato czeka ludzkość.

K. Mołowski.



Rewolucya?..

Hej! wszyscy bądźmy rewolucyoniści,
A wszyscy będziemy ludźmi!

K. Brzozowski.

Przywykliśmy przywiązywać do słowa »rewolucya« wyobrażenie rzezi, mordów i krwi rozlewu... a nie myślimy wcale o tem, że rewolucya znaczy właściwie przeobrażenie, zmiana stosunków, że nastąpić ona może pokojowo i nie kosztować ani jednej łzy... Nie o niej wszakże myślą przeciwnicy nasi, nazywając nas »partią rewolucyjną« — na ich ustach znaczy to tyle, co: zbójce, burzyciele porządku.

A jednak rewolucję w prawdziwym znaczeniu tego słowa, tj. przemianę sprawadczą i sprawadzały wszystkie stronnictwa i partje, każda myśl gorętsza i każdy wysiłek pracy...

W dziejach ludzkości snują się nieprzerwanie prawie jak dwie nici czerwone — dwa pasma rewolucyj. Jedno krwawe — to przewroty okupione łzami, niedolą i wolnością młionów, mają coś z chytrych i fałszywych ruchów węża — nie wolno nazywać ich po imieniu, — książki — z wyjątkiem socjalistycznych — nie widzą w nich nic rewolucyjnego. Drugi równoległy szereg rewolucyj cechuje przede wszystkim dążenie do sprawiedliwości. Najstraszniejsze ich wybuchy nie przelały tyle krwi, nie złamały tyle istnień, co najłagodniejsze przewroty »od góry«.

Znane buntury chłopskie nie dorównują srogością rewolucyjnym następstwom np. jednej udoskonalonej maszyny, która oszczęd-

dzając ludzką pracę, rozszerza się szybko po tysiącach fabryk i wyrzuca na bruk miliony ludzi. Na nic ich chęć i zdolność do pracy, na nic usiłowania, prośby, uczciwość... w brudnych, odległych zaułkach, w rozpaczliwej beczsilności patrzą na śmierć dzieci, na głodowe męczarnie żony i na własny upadek. Ta rewolucya, która wzbogaca kilku wyzyskiwaczy, zabija chyłkiem, cichaczem miliony ludzi, szerzy śmierć i zwyrodnienie, szerzy materyalną nędzę i moralny upadek — a jednak nikt nie przyznaje, że jest ona rewolucją.

Równoległe z nią bieży — jak w ciągu ludzkich dziejów, tak i teraz — inna rewolucya — nie żąda ona ani ofiar, ani krwi, na płomiennym swoim sztandarze wypisała szczytne hasła: wolność — równość — braterstwo. »Będziemy wspólnie pracowali i wspólnym będzie pracy plon« — głoszą słowa jej »zakazanej« pieśni. W jej szeregach stoją ludzie zahartowani w pracy, silni doświadczeniem, wiecy poczuciem jedności i misją, jaką spełnić mają. A jakże obcymi im krwiożercze instynkty i chęć urządzania gwałtownych przewrotów! Mają siłę niezrównaną, mają pewność zwycięstwa, mają milionowe szeregi, a jednak nie urządzają mordów ani rzezi. Z imponującą godnością dopominają się praw swoich, armia ich rośnie, pokrywa wszystkie kraje, wszystkie części świata, walczy, ciągle walczy — ale bez krwi przelewu.

Piękny, jasny dzień majowy obrali sobie za święto braterstwa i pracy. Dzień to walnej bitwy dla nich — czy krew się w dniu tym leje? czy płoną dobytki ich wrogów?

Nie! tysiączne zastępy ludu porzucają jeno codzienną pracę, wstają jak olbrzym milionowy, po to, żeby naradzić się, pokrzepić wzajemnie, dodać zapału i otuchy, żeby widokiem swojej siły i jedności przerazić tych »u góry« i przypomnieć im: *dajcie nam praw naszych, dajcie póki czas!*

Ośmiogodzinny dzień pracy i powszechne, równe i bezpośrednie głosowanie — oto najbliższe na teraz żądania »przewrotowców«, rewolucjonistów, »nieprzyjaciół porządku«...

Helena Rawska.



Pierwszy Maja w fabryce.

Duszo i skwarno w fabryce, młoty raz wraz padają w rozognione żelaza; piły parowe tną w innej stronie sztaby stalowe — a przeraźliwy zgrzyt pilników muzyki tej dopełnia. Wpółcieniu snują się postacie robotników. Obnażone ich ramiona, od sady zczerniałe twarze potem złane. Od czasu do czasu cichy szept przelatuje szeregi pracujących. Jakby różeczką czarodziejską dotknięci, patrzą na siebie tęsknym okiem — tam ich dusza się rwie po za te szyby, po za te mury — tam do braci, co zeszli się w uroczystej chwili sprawę zdać z czynności całorocznych. Tam tysiące robotczego ludu stanęło dziś razem — pocieszyć się widokiem ogromu swojego, nabrać otuchy do walki dalszej, do tej strasznej, żmudnej walki o dobro i byt — które przecież bez walki mieć by się godziło. Tam rankiem się naradzali, potem swobody użyli — a teraz się bawią razem — weseli, że swój dzień święcą.

A tu w fabryce kuja dalej młoty jęklwym jakoś dziś głosem — i piły żelazne warczą niechętnie — i ogień na ogniwach jakiś błędszy i ludzki jakoś nie weseli i powietrze nawet jakieś nie swoje.

A dlaczegoż oni nie poszli? Czy odwagi im brakło? Czy siły skupienia nie mieli?

Sami nie wiedzą co rzec mają.

Ilokroć szept cichy sunie między nimi, tyle razy skarga w nim zawarta, skarga na kogo? Chyba na siebie samych? Ustalenie bytu im zapowiedziano, karą zagrożono nieobecność w tym dniu — a że oni nie wszyscy jednego ducha, że nie skupili się w szeregu jako jedna drużyna robotnicza, więc musieli wszyscy przyjść — bo tylko wszyscy razem coś zrobić mogą. Darmo jedni wołali: »Tylko żądania robotników, tylko ich napieranie zmusiło naszych kacyków do przyrzeczeń, że nam dolę poprawią, że nam byt ustalą. Gdyby nie działalność partji robotniczej, dalejby nas gnębiono, dręczono — tej działalności zawdzięczamy, że nam ustępstwa czynią. Róbmy dalej z tym ogółem naszych braci — a i im i sobie byt zapewnimy.« Próżne napomnienia! Za fałszywymi mistrzami idą inni. Ci mistrzowie uczą, że »pokorne ciele dwie matki ssie« — więc w pokorze dziękując za łaski pańskie, pragnąc ssać dwie matki — cielećmi zostają. Oni wierzą, że panowie z dobrej woli wszystko dali, że postąpili »szlachetnie«, więc z wdzięczności pracą chcą zasłużyć na łaskę. Ze tysiące innych w złej doli, że miliony bez prawa żyją, że moc niezliczona bez pracy a oni za wiele jej na siebie biorą — to im nie weszło na myśl. Aż dzisiaj tęsknota jakaś umysł ogarnia, żal serce ścisła, z pochyłonym czołem posuwają się bezduszni prawie przy pracy — czują się niewolnikami własnego techórzostwa, własnej niezgody, własnego bezmyślnego sobkowstwa. Ulegli, i zgnębieni czują dziś straszny pogrom swój — czują kajdany — jakie sami na siebie włożyli.

A kiedy wieczorem idą ku domowi, kryją twarz pełną wstydu, bo panowie z dumą stanęli u wejścia i w rozmowie swojej chwala »pocziwych swoich robotników, co się nie łączą z buntatorami«. A pochwała ta rozognia jeszcze bardziej ranę i wyrzuty sumienia — i czują oni zdradę, jaką popełniają.

A właśnie u samej bramy stoi staruszek — złamany we dwoje, zgarbiony, twarz zmarszczkami poorana, cały jakby szczypa wyschnięty — trzęsąc się dłoń wyciąga i drżącym powiada głosem:

»Nie świątkujecie dzisiaj — nie nie straciliście z zarobku, dajcie groszy parę staremu koledze w dzień uroczysty«.

Grosz za groszem w nędzną dłoń się wsuwa — jakby w pokutę — bo to obraz łaski pańskiej przed ich oczyma.

Lat wiele niósł swą pracę, lat wiele pobożnie żył — uczciwie pracował — a dziś ma tylko wnuczkę do wychowania, ale chować ją może zebrany chlebem — bo za stary do pracy, »ma prawo« dłoń wyciągać koło bramy fabryki.

I w niejednym oku łąza zaświeciła wiele kołnierzy podniosło się, by twarz zakryć, bo ulicą idą ludzie — co wiedzą, że to święto robotnicze — a ci nie świętują.

* * *

Choć w tej fabryce i młoty i ludzie bezduszni i piły nie spoczywały — to jednak święto robotnicze głębiej się w ich myśl wryło — jak u tych co świętowali. Kajdany, których nie czuli — dzwięczały dzień cały i przypominały niewolnikom własnej winy — że pokora niewoli jest matką — a córką niezgody i sobkowstwa.

Nadejdzie rychło dzień, gdzie nie będzie niezgody — ani techórzostwa — odważni a zgodni zdobędą prawo, wolność i byt. Odwagi doda im święto nasze — a zgodę wytworzymy, zapalając wszędzie światło prawdy — światło płonące ogniem szczerzego przekonania, że tylko w socjalnej demokracji zbratanie ludu!

K. Nacher.





Wychodźcy.

— Matuleńko, mówcież że mi,
Dokąd idziem po tej ziemi?
Noc posepna, grzmi ulewa,
Wicher z hukiem łamie drzewa.
A na czarnem niebie w dali
Kilka krwawych łun się pali...
Ach, jak tęskno tu, mateczko,
Za chateczką, za wiosieczką.
Gdzie szumiały złote kłosa,
Gdzie dzwoniły ptaszat głosy,
Gdzie żniwiarzy tłum wesół
Zbierał plony do stodoły,
Gdzie twarz każda tak radosna
Niby kwiatek, niby wiosna...
I my świat ów pożegnali,
By tak błakać się tu w dali? —

— Nie płacz, nie płacz, ma dziewczeczko,
Za wiosieczką, za chateczką!
Nie płacz, mała!... Nasze pole
Zarastają dziś kłakole,
Prawie każdy człowiek z wioski
Siał nadzieję, zbierał troski!
Ojciec przodem ruszył, dziecię,
By zarobek znaleźć w świecie,
Z płaczem drogą chatę rzucił,
Poszedł, poszedł i nie wrócił...
Nie tak dziko wiatr wygrywa,
Nie tak groźna noc burzliwa,
Nie tak straszno, nie tak ciemno —
Głodna jesteś? O, pójdź ze mną!
Tam, gdzie huczy grzmot ze stali,
Tam, gdzie jasność bije w dali,
Tam, gdzie łuny krwawią nieba
Idziem, dziecko, szukać chleba!

— Matko, matko! Tam daleko
Łza nie zaschnie pod powieką...
Słychać jakiś huk ponury,
Jakiś wrzaski śród wichury,
Dolem ciemność a z wysoka
Łuna niby krwi posoka,
Jakiś łoskot, poświst wrogi —
Och, zawróćmy, matko, z drogi! —

— Nie czas, nie czas, moja mała,
Gdy nas dola tu zagnała!
Grzmiały maszyny dookoła,
Kłatwą świecą ludzkie czoła,
Czarne dymy błękit mroczą
I strudzeni bez sił kroczą —
Żle nam, źle nam na tym świecie,
Lecz żyć trzeba moje dziecię! —

— Matuleńko, mówcie tedy,
Czemu to tam tyle biedy?
Czemu kłatwą świecą czoła?
Czemu tak nam źle dokoła?
Czemu we łzach ludzie biedni
Zdobywają chleb powszedni?
Czemu innym na tej ziemi
Nigdy tak się świat nie ściemi?
Czemu Pan Bóg dla swych dzieci
Jednej doli nie roznieci?
Czemu dziatwie najwierniejszej
Daje żywot najciemniejszy
A gdy na jej łyż spoziera,
Tylko liczy, nie ociera?...
Matko, czemu nie żal Jemu
Tak żyć kazać... Czemu? Czemu?..

Tak szeptało drobne dziecko
Dążąc błonią mazowiecką
Obok biednej swej macierzy,
Gdzie fabrycznych świat rubieży
Tytanicznych łun pożoga
Pośród nocy świecił wrogo.
Matka milcząc przodem kroczy
Tylko chustą kryje oczy —
Lecz szumiały głucho drzewa,
Szumiał wicher i ulewa,
Noc szumiała mazowiecka
Zapytaniem tego dziecka.



Kilka słów o prawach politycznych kobiet.

W dniu dzisiejszym, w dniu, w którym cały
zsolidaryzowany proletaryat uświada-
mia sobie wspólność swych interesów,
zacieśnia i wzmacnia węzły międzynaro-
dowego braterstwa swego, w dniu tym łą-
czą i kobiety słabe swe głosy z ogólnym
chórem żądań proletariatu zjednoczonego.

Wiadomą jest rzeczą, że w walce o eko-
nomiczną wolność klasy robotniczej — są
prawa polityczne bronią pierwszorzędnej
wagi, dlatego też dostarczenie jej, pozba-
wionemu tej broni, proletaryatowi w Au-
stryi — stało się głównym zadaniem so-
cjalnej demokracji, która w programie swym
żądania te stawia. Przekonania tego socy-
alnej demokracji nie dzielą jednak ci,
którzy widzą się, przez urzeczywistnienie
tych żądań, w władzy swej zagrożeni. Gdy
jednak, myśl o zrównaniu w prawach poli-
tycznych wszystkich klas społecznych, stra-
chem ich przejmuje — to żądanie równou-
prawienia pod tym względem i kobiet wy-
daje im się wprost monstrualnem. A jednak
żądania kobiet z naturalnego biegu faktów
społecznych wynikły — a jako takie nie
dadzą się usunąć! Kobiety doszły już do
świadomości, że również w wielu sprawach
rozstrzygać mają prawo!

Za przyznaniem kobietom praw obiera-
łości i głosowania — powiada Bebel —
przemawiają wszystkie te same względy,
które przytaczać się zwykło na poparcie
tychże żądań mężczyzn. Z chwilą, kiedy
miliony kobiet pracuje i samodzielnie na
swoje, a często i rodziny swej utrzymanie
zarabia — odpada główny zarzut im czy-
niony, jakoby nie były siłami produktywnymi
w społeczeństwie. Udział kobiet w rozma-
itych zawodach przemysłowych, w handlu,
drobnym przemyśle, na polu nauki, sztuki,
wychowania publicznego — z każdym zwię-
ksza się rokiem. Wszystkie zaś te kobiety
wielce interesują się rozmaitymi zmianami,
reformami w państwie, nieobojętne są im też
wszelkie sprawy polityczne, od których po-
kój lub wojna, praca lub brak zarobku za-
wisły. Nawet kobiety zamężne śledzą to
wszystko z zainteresowaniem, gdyż od do-
brej woli, inteligencji i siły ich mężów —
dobro rodziny całej zależy. Pamiętać też
należy, że jest kilka milionów kobiet, które
same bez męskiej pomocy o byt walczyć
muszą. Podatki pośrednie zarówno kobiet
jak i mężczyzn dotyczą; gdy zaś kobieta
popęlni przestępstwo — sądzoną bywa we-
dług tych samych praw, co mężczyzna. Ma
więc te same obowiązki, dlaczegożby więc
tych samych praw mieć nie mogła? W woj-

sku zaś nie mają obowiązku służyć kobiety,
gdyż za to rodzą i wychowują przyszłych
żołnierzy, a przez to więcej narażają życie
swe i zdrowie, niż w służbie wojskowej
żołnierze.

W czasach dawniejszych — powiada
ten sam autor — posiadały kobiety równe
z mężczyznami prawa. Rozwój jednak wła-
sności prywatnej i wynikłe stąd panowanie
mężczyzny pozbawiły je tych praw. Sto-
sunki nowoczesne zmieniły znowu stano-
wisko społeczne kobiety: z poddanej staje
się ona towarzyszką mężczyzny, a to nie-
wątpliwie wpływa i na rozwój jej praw po-
litycznych.

W Stanach Zjednoczonych, w Anglii,
Szwecyi, Francyi, a nawet w Niemczech po-
siadają kobiety już pewne prawa polityczne —
a chociaż wiele jeszcze pozostaje do wy-
walczenia, zawsze jednak i to więcej już
jest, niżby spokojny nasz filister przypuszczał.

W Austrii kobiety żadnych praw po-
litycznych nie mają — lecz jest to tylko
kwestyą czasu, kiedy żądania ich zaspoko-
jonemi będą; socjalna demokracja jedyną jest
partyą, która je w swoim stawia programie.
Pamiętać o tem winny kobiety, jak wogóle
o tem, że sprawa ich z ogólnymi ekono-
miczno-społecznymi sprawami się wiąże, że
należy pochwycić związek własnej sprawy
z ogólniejszymi interesami ludzkości.

Ellem.



Wśród ruin.

W chwilach, kiedy jakieś społeczeń-
stwo chyli się do upadku, kiedy
naprężenie jego stosunków ekono-
micznych doszło do najwyższego stopnia,
kiedy choroba moralna na wskrós je ogar-
nęła, wszystko co w niem było dobrego
i pięknego, objęła zgnilizna, a zarodek no-
wego ustroju rozwija się w jego łonie, żyć
pocyna silnem tętnem zdrowego organizmu
i rozsadza spróchniałą, rozpadającą się, starą
budowę społeczną, — w takich chwilach ży-
cie umysłowe szczególny przybiera charak-
ter. Z jednej strony śmiały głosy pewnych
zwycięstwa bojowników, — z drugiej pełne
niepokoju i zwątpienia jeremiady. Żyjemy
właśnie w takich czasach.

„Chciałbym tu szczególnie zaznaczyć“,
pisał przed pół wiekiem niemiecki poeta
Heine — „jak nieobliczalnie korzystną jest
dla komunizmu ta okoliczność, że wróg,
którego zwalcza, mimo całej swej potęgi
jednak sam w sobie żadnego moralnego
oparcia nie posiada. Dzisiejsze społeczeństwo
broni się jedynie z płytkiej konieczności,
bez wiary w słuszność swej sprawy, ba na-
wet bez szacunku przed sobą samem, zu-
pełnie jak owo starsze społeczeństwo, któ-
rego zgniła budowa runęła, gdy przyszedł
syn cieśli“.

Łono kapitalistycznego społeczeństwa
trawia sprzeczności nie dające się dłużej
zakrywać frazesami, — sprzeczności klasowe
pociągające za sobą cały szereg innych.
Dobijając się władzy, zburzyła burżuazya
wszystkie bogi, dobijając się mienia, wszelką
moralność. Obłudą stały się jej związki ro-
dzinne, kłamstwem prawa społeczne, hipok-
ryzją przekonania religijne. Inteligentniej-
sze jednostki z pośród niej doszły do wniosku,
że ten stan rzeczy nie da się utrzymać. Nie
mogąc się jednak wznieść ponad ciasny wi-
dnokrag umysłowy swej klasy, nie mogąc

się oduczyć patrzeć jej oczyma, myśleć jej wyobrażeniami, nie poznały one, że przyszłość należy do proletaryatu, że jedynie walcząc za jego ideały, można się przystosować do nowych warunków, uratować własną przyszłość. Do tego przyczynia się w wysokim stopniu zwyrodnienie fizyczne. Nieograniczone używanie klas rządzących wycieńcza siły ich członków, rozstraja ich nerwy, odbiera im energią, pozbawia ich siły woli. A dużo trzeba mieć energii i silne nerwy, by wyrwać się z błogiej nieczynności i podażyć na pole walki. Stąd to pochodzi, że ludzie, o których mówimy, nie mogąc trafić do wrót prawdziwej nauki, która jest po naszej stronie, i wskazuje środki walki z dzisiejszym systemem, podobni są do zbłąkanych podróżnych, szukających drogi po omacku w ciemnościach, lub do tonących, chwytających się żdźbła słomy jakby deski ratunku. Gorączkowość, niepewność, niepokój i dziwaczność cechują te rozpaczliwe usiłowania. Każdy w nich wynajduje coraz to nową jakąś przyczynę społecznego rozstroju i nowe jakieś — o niezawodne! — na nią lekarstwo. Albo też i nie szuka nawet lekarstwa. Tych ostatnich jest bardzo wiele.

Nawet na wyszukanie jakiejś drogi i na usiłowanie wydobycia się po niej, potrzebna jest pewna ilość energii. Ludzie, którym i na tej zbywa, twierdzą, że zle tkwi nie w urządzeniach społecznych, które zmienić można, lecz w niezmiennych prawach przyrody, które człowieka przypadkiem, bez celu rzuciły na ten padół płaczu i na wieczne skazały go cierpienia; nie ma więc żadnej innej drogi wyjścia jak tylko powrót do nicości; lepiej zatem nie żyć niżli żyć. Ludzie, którym taka teoria służy za wymówkę od pracy społecznej, zowią się *pesymistami*.

Inni znów wahają się ciągle, czy warto żyć, czy nie, i wahając się w ten sposób całe życie, nie mogą się zdobyć na jakikolwiek krok, czyli tak samo jak i pesymiści nie nie robią. Nazywają ich powszechnie *hamletami*.

Do trzeciej wreszcie kategorii zaliczyłbym tych myślicieli burżuazyjnych, którzy odważają się myśleć o jakiegokolwiek przyszłości. Nie stanowią oni jednak jednej szkoły. Rozumowanie ich zależy od ich indywidualności. Panują tu nader liczne kierunki stykające się w jednym punkcie, a różniące w innym tak, że trudno między nimi stałe poprowadzić granice. Weźmiemy tu pod uwagę najważniejsze z tych prądów.

Otóż jeden z nich przedstawia się w następujący sposób. Jakiś już wspomnieli burżuazyja w walce z feudalizmem zburzyła wszelką wiarę, ogłosiła świat z wszelkiej fantazyi, wszystkie zjawiska przyrodnicze i społeczne wytłómaczyła rozumowo. Gdy atoli rozwój społeczny przybrał groźny charakter, gdy stare społeczeństwo zaczęło się w zatrważający sposób rozkładać, wtedy pewna ilość słabych jednostek, nie mogąc znaleźć oparcia w sobie, w świecie przyrodzonym, poczęła go szukać po za nim. Ale trudno cofnąć to, co wieki zrobiły, nie można wyrwać ze swego umysłu wszystkich zdobyczy kultury, — dla tego te jednostki nie zdołały się cofnąć do dawnej najwęższej wiary, lecz stworzyły sobie nieco zmienioną wiarę w świat nadprzyrodzony. Szukają one ukojenia we wszystkim tajemniczym, starają się więc upatrywać wszędzie tajemniczość i zjawiska nadprzyrodzone. Są to tak zwani *spirytyści*, *okultyści*, *mistycy* i jak tam się jeszcze nazywają. Są to dusze schorzone tak, jak pesymiści są duszami znużonymi. Wiele z nich skończy na fanatycznym katolicyzmie.

Drudzy zaś poza rzeczywistością, ale w samym społeczeństwie widzą zaród lepszej przyszłości i w tem się zgadzają z nami. Ale rozumowanie ich, a zatem i ich wnioski są zgoła różne od naszych. Zaznaczyliśmy na początku, że wszystkie te żywioły inteligencji burżuazyjnej nie zdołały wyjść

poza burżuazyjną sferę myślenia. I ta grupa, którą obecnie omawiamy, ulega temu samemu losowi. Ze stanowiska burżuazyjnego społeczeństwo przedstawia się jako zbiór jednostek walczących między sobą o byt, o szczęście. I dziś rzeczywiście panuje taka „walka wszystkich przeciw wszystkim“, objawiająca się w konkurencji, wojnach, walkach klasowych itd. Na każdym kroku spotykamy tę walkę wiodącą ludzi do zatracenia w sobie wszystkich uczuć i zasad moralnych. Temu stanowi rzeczy i wpływającemu z niego światopoglądowi przeciwstawia socjalizm braterstwo wszystkich ludzi, w niem dla wszystkich upatrując szczęście. Burżuazyjni jednak ideologowie nie mogą sobie wyobrazić ustania tej walki między ludźmi, nie mogą wyjść poza obręb pojęcia społecznej walki o byt. A więc szczęścia nie upatrują w zniesieniu tej walki, jak my, ale w doprowadzeniu jej do ostateczności. Chwyciwszy się pięknego frazesu o wolności, twierdzą, że człowiek wtedy będzie szczęśliwym, gdy będzie mógł robić, co zechce; dzisiaj jest on krępowany przez wszystkie urządzenia społeczne, które należy znieść zupełnie, by każda jednostka była w stanie zdobywać sobie wszystko, na co jej tylko siły fizyczne i umysłowe starczą. Pomijając już niemożliwość urzeczywistnienia tej fantazyi pozbawionej wszelkich podstaw naukowych, musi każdy myślący człowiek przyznać, że gdyby się udało wprowadzić taką wolność, to w tej „walce wszystkich przeciwko wszystkim“ zwyciężyliby mocniejsi i przebieglejsi słabszych i mniej przebiegłych i powstałoby znowu społeczeństwo klasowe takie, jakie dziś istnieje. Tego jednak nie widzą wyznawcy przedstawionej tu teorii. Niektórzy z nich usiłują urzeczywistnić to i ci nazywają się *anarchistami*. Inni zaś, którzy niemają odwagi robić coś w tym kierunku, lecz tylko dużo krzyczą i piszą, nazywają się skromniej nieco — *indywidualistami*. Niektórzy z tych ostatnich wypierają się nawet pokrewieństwa duchowego z anarchistami, które się jednak nie da zaprzeczyć. Nie wszyscy z nich jednakowo sobie tę przyszłość ludzkości wyobrażają, godzą się jednak na te zasady, któreśmy tu przedstawili.

Przedstawione tu kierunki filozoficzne i społeczne oparowały współczesną sztukę burżuazyjną. Płacząc się ze sobą niejasno wytworzyły w niej dziwaczny, chorobliwy kierunek zwany *dekadencją*. W malarstwie przedstawia on się jako zwrot do mistycznego, symbolistycznego sposobu tworzenia prerafaeltów (średniowiecznych katolickich malarzy), jakoteż w dążeniu do podniecania nerwów, działania na fantazyę i wywoływania odpowiedniego nastroju przez silne kontrasty barw. Jestto tak zwany *impresjonizm*. W muzyce przejawia się ten prąd w utworach Wagnera i jego zwolenników.

Najciekawiej przedstawia się ten kierunek w literaturze. Widzimy tu mieszaninę wszystkich wymienionych prądów zastosowanych na najdziwsze sposoby. Rezultatem tego jest mistyczna, chorobliwa, denerwująca poezja, zwana *dekadentyczną* lub *symboliczną*.

Tak wygląda dzisiejsze życie umysłowe burżuazyi. Są to ostatnie podrygi konającego na uwiad starczy organizmu.

Ale wśród tych ruin rozwija się nowe życie, niby bluszc, który coraz silniej oplata rozsypujące się kamienie, coraz głębiej pomiędzy nie zapuszcza korzenie, coraz bardziej je rozsada. — Proletaryat walczy teraz o swe prawa, więc sfera duchowej jego działalności jest odmienna od burżuazyjnej. Przeważa w niej nauka, z niej bowiem czerpie on swą broń. Sztuka, ma się rozumieć, nie może u niego na razie kwitnąć. „Wśród szczeru broni milkną muzy“. Obecna poezja proletaryatu, to pieśń bojowa. Sztuka ludowa rozwinięta się dopiero, gdy proletaryat zwycięży, gdy już nie będzie skazany na walkę o chleb codzienny

i o prawa swoje. Ale już dziś widać zarody młodej sztuki ludowej technącej zdrowiem i siłą, stanowiącej rażąco a korzystny dla niej kontrast do płodów schorzałej i zбочzonej fantazyi dekadentów. H. S.



Niechaj kilku filozoficznych lokajów kuje najdelikatniejsze wywody, aby nam udowodnić, że miliony ludzi stworzonymi są na zwierzęta juczne kilku tysięcy uprzywilejowanych rycerzy; przecież nie przekonają nas o tem tak długo, jak długo, mówiąc z Voltairem, nie udowodnią, że tamci przyszli na świat z siodłami na grzbiecie, a ci z ostrogami u nóg. Heine.

Pan Majster o 1. Maja.

(Niby monolog.)

— Proszę mi też powiedzieć, co wam przyjdzie z tego 1. Maja? Czy któremu choćby dwa centy do kieszeni wpadną, czy co? Gdzie tam, tylko strata i strata. Nie będziesz jeden z drugim robił, nic nie zarobisz; a do tego stracisz, bo musisz kupić odznakę, jednodziówkę i Bóg wie co jeszcze — no a przecież „manną bożą“ żyć także nie będziesz, z tym na szklanke piwa, z tym na wódkę pójdziesz i oto masz zysk...

— Mało wam świat jeszcze!... Trzeba wam więcej? No, proszę! Widać za dobrze wam płacą, za dużo macie pieniędzy... Zeby was bieda przycisnęła — tobyście chętnie wszystkie święta pokasowali, a nie dopiero robili sobie jakieś swoje własne... A co to znaczy swoje własne święto? U mnie święto jak mam pieniądze — a wy co macie, popatrzno się każdy na siebie: surduta porządnego żaden na grzbiecie nie masz, dzieci gołe i bose — a tobie się chce święta?

— A czy to święto ustanowił może ojciec święty, albo kto? Gdzietam! Ot! jakież próżniaki, co im się robić nie chce. Zeby to było co dobrego, toby nie zakazywał tego święta, ani ksiądz z ambony, ani pan minister, co stało w gazecie napisane. Ale co wam o tem gadać, czy był który u jezuitów na rekolekcyach, czy zapisany do „lekkiej śmierci“? — gdzietam, do „Siły“ — do socjalistów, w to wam graj! A skaranie boskie!

Zkąd to się wszystko wzięło? Jak ja był jeszcze czeladnikiem, to nie tak było jak dzisiaj, ale całkiem inaczej i było lepiej. Majster mój kupował kamienie za kamienią — a teraz co?! Zeby człowiek od rana do nocy za interesami nie chodził — temu i owemu w gardło nie nalał — tobyście z głodu pozdychali... Oj, było inaczej, całkiem inaczej! Czeladź spała w warstacie, jadła u majstra, a przyszła niedziela, majster prowadził wszystkich rano na mszę, potem na nieszpór, dał po „cwancygierze“, albo półtora i spokój, zgoda. Robota szła także inaczej. Piąta rano, już każdy stał przy warstacie, pracował cały boży dzień ochotczo, pilnie, aż do dziewiątej lub dziesiątej wieczór i czuł, że pracą Boga chwali, wiedział, że próżniactwo ciężkim jest grzechem. A teraz, pożałuj Boże! Każdy z was chciałby żyć jak konsylarz. O szóstej to mu za rano do roboty — do ósmej za długo robić, a do tego chce iść do domu na obiad? Osiem godzin chcesz robić? No, proszę!

A cóżbys jeden z drugim zarobił? Teraz robisz dwanaście, trzynaście godzin, zarabiasz reński, albo reński dwadzieścia; będziesz robił ośm godzin, zarobisz pięć albo sześć szóstek. Z czegoż będziesz żył? A żona, a dzieci — bo to każdy z was zaraz chce mieć swoją żonę i swoje dzieci — chyba pójdą na żebry. Im dłużej robisz, tem więcej zarobisz, im mniej przez dzień prónujesz, tem mniej się rozleniwiasz, a więcej gustu do roboty dostajesz i do szynku cię tak nie ciągnie, do pijatyki, do rozpusty, jak mówił ksiądz na kazaniu w niedziele.

— Sam o sobie chcesz radzić? Chcesz chodzić na wybory, radnych i posłów wybierać, — a może i posłem lub radnym zostać? A gdzież twoja głowa do tego? Czy ty płacisz podatek jaki? Zkąd nam do tego, patrz jeden z drugim, byś roboty nie fuszerował, byś materiału nie psuł, byś majstra słuchał, byś Boga nie obrażał — a zresztą nie potrzebujesz troszczyć się o nic, na to jest majster, są urzędnicy, są panowie, jest rząd. Abyś miał co zjeść, gdzie głowę położyć, uprane i załatane — będziesz szczęśliwy. Po co ci głowę zawracać sobie czem innym, po co ci się troszczyć tem, co do ciebie nie należy, tem, co ci tam kto nagaduje, aby ci grajcy z kieszeni wyciągać, aby cię roboty pozbawić, albo i do kryminalu zaprowadzić. Z majstrem żyj w zgodzie, jego słuchaj, pilnie pracuj — będzie ci dobrze!

— Ja zawsze tak robiłem — i dobrze mi z tem. Doszedłem do lat, ożeniłem się, wziąłem za żonę 500 reńskich, a że tam przedtem było coś małego, to nie z byle kim, ale ze znaczną osobą, z synem wielkiego pana, u którego była w obowiązku, to co mi to szkodziło; małe umarło — a 500 papierków zostało.

— Otworzyłem warsztat — ten pan nastreczył mi robotę, wziąłem zaraz czterech chłopaków, a teraz jestem pierwszym majstrem w mieście, mam poważanie u ludzi i daję wam dziewięciu kawałek chleba.

Tak niech każdy z was robi, a prędzej może dojść do wyborów, jak przez te głupie socjalistyczne awantury, przez zakazane przez księdza i ministra święta, przez wyklęte gazety „niby robotnicze“ itp. rzeczy, z których tylko diabłu uciecha — a dobrym ludziom zmartwienie.

Pewnie każdy z was dobrze mnie rozumiał i pojął, że to całe świętowanie funta kłaków nie warte i pewnie każdy 1. Maja raniutko stanie do warsztatu i jeszcze pilniej jak kiedyndziej będzie pracował? Nieprawdaż, że się nie mylę? Ze nikt z was nie będzie świętował — widzę po waszych minach, że tak, no powiedz Pukalski, że żaden z was się nie wyłączy?

— Ani jeden — odparł Pukalski — wszyscy będziemy świętować, bo to nasz obowiązek najświętszy i najpierwszy! My dla tego musimy to zrobić, bo »wy« sobie tego nie życzyście.

J. H.



Karol Marks — przyjacielem dzieci.

Wiedeńskim kalendarzu robotniczym na rok 1895 znajdujemy artykuł, który córka Karola Marksa, ulegając prośbom swoich przyjaciół w Austrii — przysłała. Tytuł jego jest Karol Marks, luźne kartki.

W artykule tym podniesiony jest nieznamy nam dotąd, a nader sympatyczny, nader ujmujący rys charakteru Marksa — stosunek jego do dzieci. Rys ten rzuca promień tak miłego ciepła na całą postać poważanego przywódcy Międzynarodówki, iż budzi w czytającym niewypowiedziane przyjemne uczucie. Dlatego też podajemy w tłumaczeniu odnośny ustęp z wyżej wzmiankowanego artykułu.

— W obcowaniu z dziećmi występowały w całej pełni najlepsze strony charakteru Marksa. Dzieci nie mogłyby wymarzyć sobie lepszego towarzysza. Przypominam sobie, że gdy miałam około trzech lat zwykł mię ojciec wysadzać na swoje ramiona, obnosić po ogrodzie i wplatać powój w moje ciemne kręcone włosy. Ojciec był dzielny „koniem“; starsze moje rodzeństwo zapręgało go nieraz do krzesła, na którym siedzieli „pasażerowie“ i zmuszało do ciągnięcia „powozu“. Istotnie kilka rozdziałów „18 Brumaira“ napisał był Marks udając rączego konia swoich trojga dzieciaków, które za nim siedziały i poganiały go biczykami. Ja, ponieważ nie miałam rodzeństwa w swoim wieku, wolałam ojca jako wierzchowca. Na jego ramionach siedząc i zatapiając ręce w bujnej „grzywie“, która wtedy czarną jeszcze była i miejscami tylko w szare wpadała, kłusowałam najchętniej po małym naszym ogródku, albo po polach i łąkach.

Ojciec był nie tylko znakomitym koniem, był czemś więcej jeszcze: jedynym i wprost niedoścignionym bazarzem. Ciotki moje opowiadały mi nieraz, że ojciec dzieckiem będąc, tyranizował je okropnie, zmuszał do zbiegania kłusem z góry Marksa w Trewirze, a co gorsza do zjadania ciastek, które on sam brudnymi rękami z jeszcze brudniejszego ciasta sporządzał. One poddawały się wszystkiemu bez sprzeczek, bo Karol opowiadał im w nagrodę precudne historie. Wiele, wiele lat później opowiadał historie dzieciom swoim. Siostrą moim (ja byłam wtedy jeszcze za małą), opowiadał bajki na przechadzce, a bajki te nie rozpadały się na rozdziały, ale na mile. „Opowiedz jeszcze jedną milę“, prosiły dziewczęta. Co do mnie, to ze wszystkich cudownych historii, jakie mi opowiadał lubiałam najlepiej bajkę o Jasiu Röckle. Ciągnęła się ona całymi miesiącami, gdyż była to długa, długa historia — bez końca. Jaś Röckle był czarownikiem, który miał skład z zabawkami i wiele, bardzo wiele długów. W jego składzie były bardzo piękne rzeczy; drewniani mężczyźni i kobiety, olbrzymy i karły, królowie i królowe, majstrowie i czeladnicy, czworonożne zwierzęta i ptaki, było ich tam tak wiele, jak w arce Noego; były ryby i stołki, powozy i pudełka najrozmaitszych wielkości. Ale niestety! mimo, że Jaś był czarownikiem, nie mógł pozbyć się długów, musiał więc wszystkie swoje piękne rzeczy, kawałek po kawałku dyabłu sprzedawać. Po wielu, wielu strasznych przygodach powracały jednak wszystkie te rzeczy znowu kawałek po kawałku do składu Jasia. Niektóre z przygód, jakie przebywały, były przerażające i okropne, inne znowu śmieszne, a wszystkie one były opowiadane z niewyczerpanym zapasem wyobraźni i humoru.

Dalej opowiada autorka, jak Marks z dziećmi swoimi czytywał, jak czytając uczył je myśleć i tłumaczył najpoważniejsze kwestye, jak z miną zupełnie seryo słuchał ich dziecinnych i naiwnych planów. Cna sama np. po przeczytaniu jakiejś historii o podróżnikach morskich zwierzyła mu się, że chce się przebrać za chłopca i zostać „kapitanem okrętu“, Marks wysłuchał tego z całą powagą i poradził, aby trzymała tę rzecz w tajemnicy, póki wszystkie przygotowania nie będą gotowe. Oczywiście zanim wszystkie przygotowania były porobione, przeczytano inną książkę, a za nią przyszły i inne plany.

Marks mawiał często: „Chrześcijaństwu wiele przebaczyć możemy, gdyż nauczyło nas ono miłości dla dzieci“.

„Mógł on rzeczywiście powiedzieć jak Chrystus: dopuście do mnie małych. Gdziekolwiek się ruszył, dokądkolwiek poszedł, wszędzie i zawsze ten człowiek roślej i silnej postawy, o długich włosach, otoczony był gronem dzieci. Całkiem obce dzieci zatrzymywały go na ulicy. Przypominam sobie, jak dnia jednego zupełnie obcy, dziesięcioletni może chłopiec przystąpił do

niego na ulicy mówiąc: »Swop Knives“*), a gdy wytłumaczył, że »swop« w języku szkolnym znaczy „zamienić“, wyciągnęli obaj swoje scyzoryki i porównali je. Scyzoryk chłopca miał tylko jedno ostrze, scyzoryk Marksa dwa, ale były one bardzo tępe. Po krótkiej rozmowie zgodzono handel, zamieniono scyzoryki, a »obawę wzbudzający przewodca Międzynarodówki«, dopłacił jeszcze jednego penny**) za to, że scyzoryk jego był taki tępy«.

Dalej opowiada autorka, że wśród pracy nawet Marks otoczony był dziećmi swoimi, ciągle mu one przerywały, co chwila miały o co zapytać, lub o jakim »ważnem« donieść odkryciu, słuchał je, opowiadał, ale żadnemu nigdy odczuć nie dał, że mu przeszkadza. »W tym czasie — mówi dalej — miałam niewzruszone przekonanie, że Abraham Linkoln (prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej) nie może obejść się bez moich rad. Pisywałam więc do niego długie listy, które ojciec miał czytać i nadawać. Po wielu, wielu latach pokazał mi te wszystkie listy, które tak go bawiły, że je przechowywał.

Tym, którzy oddają się badaniu natury ludzkiej nie wyda się to dziwnem — kończy autorka — że człowiek będący takim, jak Marks nieugiętym bojownikiem mógł być równocześnie najłagodniejszym i najlepszym z ludzi. Zrozumieją oni, że dlatego umiał głęboko nienawidzić, bo i szczerze kochać umiał, że ostre jego pióro dlatego mogło do piekła wtrącać, bo umysł jego był łagodny i współczujący, że jeżeli sarkastyczne usposobienie jego palić umiało, to, to samo usposobienie było balsamem kojącym dla tych, którzy cierpieli nędzę i ucisk.



Brzask nowej zorzy.

(Słowa do ryciny na str. ostatniej).

Noe była ciemna. Wśród nocy cieni,
Głos się rozlega. Jako grzmotu siła
Jak fali odgłos, kiedy się pieni,
Jego potęga. Wnet obudziła
Śpiące i dotąd nieczułe ludy,
Wstają, a głos, jakby płonął z nieba,
Woła doń: »Jakie cię w życiu trudy
Żywią — czy wśród potu zdobywasz chleba,
Czy cię na polu poty zlewają;
Czyli zgłodniały obracasz koło,
Lub ducha twory chleb nędzny dają
Troska cię gniece, radli twe czoło
I nędzy strasznej gniotą kajdany
A od kolebki tylko niedola,
Twój druh jedyny, najlepiej znany,
Ci towarzyszy — czy żyzne pola
Chaty rodzinnej próg otaczały,
Czy skwar pustyni — lub mróz północy.
Czy też śnieżyste karpacie skały —
Zbudź się człowiecze, bądź pełen mocy!
Spojrzyj! — jak tu wspaniale w około!
Popatrz na skarby bogate świata!
Dumnie wznies w górę schylone czoło,
Zrzuć z siebie kajdan co cię oplata,
To twojej pracy przecież są plody,
Poczuj się wolnym — wierz niezachwianie
Wszelakie ludy i wszelkie narody
Braćmi są wszyscy w roboczym stanie!

Wszyscy słuchają na całym świecie
I wraz z poznaniem zarobek kajdany
Z nich opadają. Tylko kobiecie
Znaczenie pracy wcale nieznane,
Ona w niewoli żywot swój wlecze,
Zdobyc jej trzeba prawa człowiecze.

I coraz dalej głos się rozchodzi,
Wraz z falą wiatru wszędzie dociera,
A dokąd dojdzie, światło wnet rodzi
I nocy cienie zewsząd wypiera;
Wnet koniec ciemni — brzask nowy świta
Jutrzenkę jasną lud wolny wita!

K. Nacher.

*) Czyta się suup najfs. Knives znaczy po angielsku nóż, scyzoryk.

**) około 2 1/2 centa.

